

Wpisano do kontroli periodycznej
i Miejskiej wytwórni heliografów
dla doradców
24-7 49

W numerze m. in.:

- L. RUDNICKI
- J. IWASZKIEWICZ
- L.M. BARTELSKI
- J. SIGALIN
- St. B R U C Z

KUŹNICA

Cena 25 zł — 8 stron

Warszawa, 24 lipca 1949 r.

Nr 29 (201) Rok V

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Nowa Warszawa ma stać się stolicą państwa socjalistycznego. Walka o oblicze ideologiczne naszego miasta musi być prowadzona z całą świadomością i wyłączeniem wszystkich sił w tym kierunku.

BOLESŁAW BIERUT

MIECZYSLAW JASTRUN

HUMANIZM NASZEGO CZASU

Pamiętam koniec roku 1943 w Warszawie okupowanej. Cokolwiek o tych czasach napisaliśmy i cokolwiek jeszcze napiszemy, nie będzie to bardziej wymowne od kilku zdań sucho zanotowanych faktów. Było to już po tak zwanej „likwidacji Żydów”; równocześnie nadchodziły wieści z Lubelszczyzny, z powiatów zamojskiego, hrubieszowskiego, krasnostawskiego, radomskiego o rzeziach i o paleniu żywcem tamtejszej ludności wiejskiej. W Warszawie — łapanki, egzekucje uliczne, nocne areszty.

My, którzy żyliśmy w tym czasie, którego nie zdołaliśmy wyrazić językiem największych poetów nieszczęścia i grozy od proków do Dantego, my którzy ufaliśmy jedynie faktom i czynom, z biciem serca czytaliśmy w prasie podziemnej Manifest Demokratycznych Organizacji Społecznych i Politycznych, zapowiadający utworzenie najwyższej władzy narodowej. Było to 15 grudnia 1943 roku.

Pamiętam później widziany z Józefowa pożar Warszawy: obrzymi na wysokość gwiazdy mur ognia i dymu, który stał nad niewidzialnym miastem.

Pamiętam później szosę lubelską, którą szły wojska sowieckie i polskie w kurzu i w słońcu.

W Lublinie ruch był nieustanny i nadzwyczajny. W tym małym mieście, częściowo w czasie wojny zburzonym, w jego małym przytulnym murach, otwartych na szeroki przestwór nalożeń bombowych, mieścił się Rząd nowej Rzeczypospolitej, zawiązywała się administracja, na małym placu odbywały się parady wojskowe. W domku na Radziwiłłowskiej tworzyła się pierwsza spółdzielnia wydawnicza „Czytelnik” i tu mieszkali pierwsi literaci, którzy zjechali do tej zaimprovizowanej stolicy Polski Ludowej.

Wszystko to dusiło się w dosyć podłym mieście. Rząd bez apartamentów, urzędy bez lokalów, biura bez maszynistek.

Alarmy lotnicze nie przerywały trwania konferencji ani pracy w redakcjach. Ulicami przechodzą obdarci jeńcy niemieccy wśród milczenia tłumu.

W bochnych ulicach kombinują waluciarze, mieszczanie nie wróżą trwałości „rządowi tymczasowemu”. Tymczasem... stąd, z Lublina poszedł wicher na Polskę, ów wicher, który przepędził z dworów i pałaców ich starych właścicieli, wicher, który wzwał wkrótce tysiące czterwójek sztabierów nad Polską ku przerażeniu wszystkich zachowawców. Ta rewolucja wśród zgromadzonych w wojen nie ścinała głów. Okazało się jednak, że wkrótce ścierała głowy marzeniom tych wszystkich, którzy liczyli na powrót stosunków przedwojennych, na nieudanie się reformy rolnej, na interwencję anglosaską. A kiedy Armia Radziecka wespół z Wojskiem Polskim wyzwoliła Kraków i Warszawę, otworzyła się szeroka przestrzeń dla Nowej Polski.

Widziałem Warszawę wkrótce po jej uwolnieniu i nie wyobrażałem sobie, że tu może być przeniesiona siedziba Nowej Polski. Wydawało się to szaleństwem: wprowadzać do tego miasta potwornych ruin, gdzie czuć było wszędzie swąd spalonych i zaduch trupów. Jak to, więc od tej stolicy upiorów miała zacząć Polska Ludowa?

O ilej prościej i rozsądniej — tak wydawało się wtenczas — było osiągnąć w Łodzi, dokąd na czas jakiś część biur i niektóre ministerstwa przeniesiono.

Bliska przyszłość pokazała, że racja była po stronie „rozumnych szaleńców”. Jak gdyby raz jeszcze historia chciała potwierdzić słowa „Ody do młodości”.

Kto dzisiaj, mając w pamięci tamten widok, dla którego porównań zacierpnać by trzeba z widoku kraterów po wybuchu lub z krajobrazów księżycowych, kto dzisiaj, mówiąc z tamtym obrazem w pamięci przejdzie się ulicami Warszawy, zrozumie, że zapal może rzeczywiście sprawić cudy i potrząść kwiatem nowości.

Powstaje z gruzów Warszawa, powstaje z ruin, z milionów zabitych i zakatowanych Polaków, na świadectwo prawdy, że zginać nie może naród prawdziwy.

O wielkości narodu stanowi lud: robotnicy, chłopcy, inteligencja pracująca.

Jesteśmy świadkami wspaniałego procesu, gdy twórcze warstwy narodu, dzięki ruchowi historii, wydzwignięte z osła, wydobycie z mroków, w które spychała je klasa rządząca tak długo i źle w Polsce. Mówiono, że naród polski nie jest gospodarny. Nieprawda. Okazało się, że lud polski w ciągu niewielu lat rządów demokratycznych zdołał odbudować gospodarkę narodową, tak straszliwie zniszczoną w czasie okupacji. Mówiono, że Polak tylko w wojennych potrzebach zabysnąć może. Nieprawda. Albowiem ilość znakomitych uczonych, pisarzy i artystów nie jest u nas proporcjonalnie mniejsza niż gdzie indziej.

Demokracja polska, dławiona dotąd, demokracja, która nigdy dotąd nie mogła u nas rozwinąć dość szeroko skrzydeł, dzisiaj dzięki temu, że władza jest w jej re-

kach, wydała wojnę wszystkim potęgom ciemnoty i wsteczności, od których jeszcze nie jest nasz kraj wolny.

Mija właśnie pięć lat od chwili, gdy Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego w Manifestie do narodu zapowiedział:

„Jednym z najpilniejszych zadań Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego będzie na terenach oswojonych odbudowa szkolnictwa i zapewnienie powszechnego nauczania na wszystkich szczeblach... Polska inteligencja udzielić będzie pomocy Niemcom, a zwłaszcza ludziom nauki i sztuki, zostaną otoczeni specjalną opieką. Odbudowa szkół zostanie natychmiast podjęta.”

Data Manifestu PKWN — to data narodzin nowego życia politycznego i kulturalnego w Polsce. Reformy Polski Ludowej zapewniają nie tylko powszechną oświatę, lecz szeroko otwarty dostęp do wytworów kultury, literatury, sztuki warstwom społecznym dotąd odpychanym od tego „komfortu duchowego” przez klasy posiadające. To już nie tylko sprawa oświecenia powszechnego, walki z różnymi formami analfabetyzmu, to fakt, o wiele bardziej brzemienne w następstwa: wejście ludu polskiego do przybytku kultury narodowej, unarodowienie wielkich mas chłopskich, na ogół mało aktywnych na skutek konsekwentnie w ciągu wieków prowadzonej polityki posiadaczy. To przeoranie odłogów pod kwiaty „w rubasznym pustkowiu”.

I tutaj wysuwa się kapitalne zagadnienie stosunku do tradycji narodowej. Ani proletariatu ani lud wiejski nie stworzą nowej kultury bez oparcia o dziedzictwo przeszłości. Nie ma i być nie może kultury oderwanej od życia narodu w przeszłości i teraźniejszości. Wybór dziedzictwa kulturalnego dyktuje współczesność. Tylko po przez nią możemy w ogóle ustosunkować się do dzieł przeszłości.

Nie może się obejść to przewartościowanie dziedzictwa kulturalnego bez zacieklego nieraz sporu między zastępnym już ładem przeszłości a nowością, niespodzianką, wynikającą z obszarów nowego życia. Z czego korzystać będzie nasz lud, chłop, robotnik, który wejdzie gromadnie do szkół i uniwersytetów? Jakże księgi damy mu do rąk z zaufaniem do ich treści wychowawczo-społecznej, jakie księgi piękne, mądre i szlachetne?

Linia postępowania literatury polskiej nie jest linia prosta, wije się zygawkami, zawęzła się i supła pod okrutną presją warunków historycznych, wyjątkowo trudnych.

Literatura polska, która w czasach Kochanowskiego umiała połączyć narodową treść z formą obowiązującą w dobie renesansu, była literaturą na miarę światową. Mógł Kochanowski powiedzieć bez zażenowania: „Widziałem Ronsarda”.

W istocie widział go tak, jak widział Horacego w granicach swego wieku, który był wiekiem ówczesnego odrodzenia Europejskiego. Tragiczne powikłania następują w kulturze i w piśmiennictwie polskim w okresach, gdy wskutek szybkiej przebiegających procesów dziejowych na Zachodzie, a później także na Wschodzie, pozostajemy w tyle. Większość niekonsekwencji i sprzeczności w dziełach naszych poetów romantyzmu da się wytłumaczyć jedynie na tle tych zjawisk.

Sytuacja po roku 1905 staje się szczególnie tragiczną. Cofa się wtenczas postępowy nurt twórczości Zeromskiego. Niezwykle jeszcze deklaratywnie zachowawczy z „Młodej Polski” przechodzi wyraźnie na pozycję wsteczności.

Literatura okresu dwudziestolecia przedstawia zjawisko złożone nadzwyczaj. Obok literatury mieszczańskiej, usiłującej doścignąć w skomplikowaniu psychologicznym i formalnym schyłkowe literatury zachodnio - europejskie, pojawiają się utwory o charakterze rewolucyjnym, utwory mówiące o roli robotnika i chłopca walczącego z uciskiem kapitału i ziemiaństwa.

Ale ambicje nurtu królującego w piśmiennictwie dwudziestolecia szły nie w kierunku literatury dla narodu, literatury, która roslaby z nim i żyła, lecz rozbiegały się w kierunkach wyznaczonych przez prądy targane sprzecznościami kultury zachodnio - europejskiego mieszczaństwa. Żył jeszcze rodzime tradycje elitaryzmu w typie Przybyszewskiego; sztuka — to nie biblia pauperum, sztuka powinna stać zdala od polityki, sztuka jest dla wybranych.

Adolf Nowaczyński, pisząc o grupie poetów Skamandra, największą ich zaletę widział w odrzuceniu przez nich tradycji sztuki narodowej, wychowującej naród: „Plejada Skamandra — pisał Nowaczyński w r. 1921 — pierwsza dopiero wchodzi do literatury z pełną samowiedzą tego aksjomatu, że w niepodległym narodzie twórców walorów poetyckich, literackich, artystycznych, spada z pleców brzemie odpowiedzialności za „politykę”, „ekonomię”, ba — nawet za kulturę i oświatę narodu”.

Stary nacjonalista opowiada się tu wyraźnie za sztuką oderwaną od życia naro-

du. W istocie — strach przed „ulicą”, strach przed ludem, którego nie należy wprawdzie trzymać w zupełnej ciemności, lecz któremu nie należy i nie można dać strawy przeznaczonej tylko dla wytrawnych podniebień, nieraz do szafu doprowadzał wszystkich zacofańców, jak to wspaniale wyraził Słowacki w poemacie z Krasiniskim:

A ty zaraz — w ręku kord!
W kosach przed nim cała wieś!
Duch ten — krzyczysz — jest to Rzeź!
Duch ten — to czerwony Mord!

Odrwanie się sztuki od życia narodowego jest zawsze objawem złego funkcjonowania organów tego życia. Jeżeli w państwie obrzydła większość obywateli nie może brać udziału w życiu politycznym i kulturalnym tego państwa, jeżeli literatura, jeżeli sztuka może wyrosnąć w tak nienormalnych warunkach?

Poezi takiego kraju uciekają w nastroje zmierzchów, modlą się do nocy, gubią się w poszukiwaniu form jednorazowych i kruchych. Powieściopisarze oddalają się od prostoty stylu, od ambicji malowania rozległych obrazów życia, od pokazywania w zwierciadłach sztuki cnót i występków swojego wieku.

Naturalny i zdrowy głód oryginalności, bez której dzieło nie może być wartościowe, wyrodnienie, zmienia się w poszukiwanie osobliwości, w kulturowanie niezwykłych i w istocie pustych igraszek wyobraźni. Jest to ten moment, kiedy artysta rozporządza wieloma środkami dla wyowiedzenia skąpej treści. U nas to poszukiwanie osobliwości tym było gorsze, że najczęściej ograniczało się do naśladowania wzorów schyłkowej obcej literatury.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że literatura nasza w nowszym okresie jej rozwoju niedość korzystała z rodzimej postępowej tradycji, że często ją lekceważyła.

Wiadomo, że tradycje naszej prozy nie są tak bogate, jak tradycje poezji. Ale czyż tym bardziej nie należy tego, co jest wchłonać, nie w celu naśladowania, lecz oryginalnego kontynuowania. Choćby ta dawna proza polska od Górnickiego po Prusa, Sienkiewicza, Orzeszkową i Zeromskiego miała zająć w świadomości pisarza tyle obszaru, ile trzeba miejsca za wodnikowi dla nabrania rozmachu do skoku naprzód. „Chronicz dziedzictwo — to nie znaczy bynajmniej ograniczać się do dziedzictwa”. Tę mądrą myśl Lenina warto zapamiętać. Wielcy powieściopisarze rosyjscy pamiętali dobrze, ile proza ich zawdzięcza prozie poety — Puszkina.

Nie zdarzyło mi się jednak w rozmowach z pisarzami naszymi średniego i młodego pokolenia usłyszeć ich sadu o prozie Słowackiego czy Norwida. Natomiast często zachwycają się Stendhałem, Conradem, Proustem... A jednak warto uczyć się na wielkiej, naprawdę wielkiej i wyprzedzającej wszystko, co w Polsce było, prozie Słowackiego, która była mistrzynią znakomitej sztuki Sienkiewicza. Warto poczytać „Czarne kwiaty” Norwida, aby zrozumieć, jak asceza formy sprzyja wyrazowi prawdy. W poezji również warto wydobyć z wielkiej tradycji to, co może być jeszcze dziś zapładniające. Mechaniczne przejmowanie wzorów francuskich i innych niewiele dało dobrego. Nasi poeci więcej, którzy mogliby doścignąć do nieustnie lekceważonej Konopnickiej, uważają za stosowne i konieczne sadzić na czarnym gruncie rodzimym abstrakcyjne kwiaty Eluarda. Pierwszy lepszy młodzieńcze z Kutna lub Łęczycy usiłuje naśladować poematy Neruda, który tkwią silnie w tradycji amerykańskiej (biblia i Whitman). To jeszcze dobrze, gdy sięga się do znakomitych wzorów, gorzej, gdy naśladuje się rzeczy słabe, które jedynie przez swoją tajemniczą obecność uwodzą. Był czas, że tłumaczono i naśladowano u nas Siewierianina i Balmonta. Ta moda przeminęła wraz z „Skamandrem”. Później dopiero nauczono się cenić Puszkina i Majakowskiego. Krytyka nasza za mało zajmuje się twórczością polską. W niektórych czasopiśmiech literackich łatwiej przeczytać studium o Aragonie, Eluardzie, o Tomaszu Mannie, niż o naszych pisarzach.

Bardzo podziwiam wymienionych pisarzy i nie wątpię, że Tomasz Mann jest wielkim artystą, ale to nie powinno prowadzić do lekceważenia literatury ojczystej.

Są krytycy, którzy w ogóle „nie uznają” literatury krajowej. To jest stan niernormalny.

Skarżył się już Łukasz Górnicki, że „Polak był jedno z domu wyjechał, wnet nie chce inaczej mówić, jedno tym językiem, gdzie troszkę zamieszkał... A jeśli mu rzeczesz, żeby swym językiem mówił, to powiada, iż zapominał albo, że mu się przyrodzony język prawdziwie grubo widzi...”. Bywa tak i dzisiaj.

Bez przekonania o wartości literatury ojczystej nie można — nie wartościowego stworzyć w tej dziedzinie, nie można nawet napisać rozsądnej i uczciwej recenzji. Chcemy — zdarza się to najczęściej — pokazać Francuzom, jak jesteśmy „wyrafi-



Prezydent Rzeczypospolitej Bolesław Bierut na trasie W — Z

nowani”, ale oni umieją to lepiej i oryginalnie! Im bardziej narodowa, ludowa będzie nasza literatura, tym chętniej sięgnie po nią zagranica. Pisarze skandynawscy, na przykład, mają odwagę zdobyć się na narodową oryginalność. I dobrze na tym wychodzą.

Uczmy się od wielkich naszych dawnych pisarzy, jak korzystać z cudzych wzorów bez zatrącenia własnej indywidualności, która nie jest tylko naszą, lecz powinna być jakimś odbiciem indywidualnego życia naszego ludu.

Zamknąć literaturę w ramach tylko ojczystych byłoby wielkim i śmieszny błędem, ale nie mniejszym błędem jest niedocenianie własnych sił i odrębność.

Tymczasem piśmiennictwo nasze wahało się zawsze między sarmatyzmem a cudzoziemską powierzchownością. Literatura naszej prozy na ogół dzieł o wielkim optymistycznym, zdobywczym zakroju. W poezji, na przykład, utwory takie, jak „Oda do młodości”, „Farys” lub „Odpowiedź na Psalm Przyszłości” należą do szczęśliwych wyjątków.

Dzisiaj, w Odrodzonej Polsce cieszylibyśmy się bardzo, gdyby młoda nasza poezja umiała zachwycać coś z tamtej dynamiki myśli, z tamtej radości z postępem i z radości walki o nowe formy, gdyby umiała być narodową i ogólnoludzką zarazem.

Sięgnąć do głębi pełnego życia ludu, pokazać zwierciadło swojej współczesności — coż to jest, jeśli nie realizm? Siła dzieła realistycznego jest w tym, że nawet wbrew woli autora ukazuje ono i obnaża prawa życia społecznego. Niezmiernie pod tym względem pouczająca jest lektura Sienkiewicza. Pokazał on wbrew własnym umiłowaniom i intencjom całe okrucieństwo swojej warstwy: ziemiaństwa. I nie tu nie pomogą powaby stylu ni uroda polowań i pojedynków. Jest to szczególnie interesujący moment, kiedy prawda życia zwycięża poglądy pisarza. Prawdą realistyczną powieść współczesna w Polsce, choćby rozrywała nie wiem jakie rany i bliźni naszego życia, nie mogłaby mieć dzisiaj pesymistycznego zakończenia.

Przed pisarzem Polski Ludowej otwarta jest wielka i jasna przestrzeń. Ta przestrzeń obejmuje wszystko, co w naszej przeszłości było postępowe, twórcze, młode, i wszystko, czego spodziewamy się od przyszłości.

Przyszłość ofiarowuje się tylko tym, który o nią walczy. Są ludzie, którzy sprzeciwiają się wszelkim zmianom z odrady do walki, do brutalnego przeciwstawiania się złu ciążącym ludzkości starych form i układów społecznych. Wierzą, że czynią to ze szlachetności. Zapominają jednak, że pojęcia ich o humanitaryzmie, że ich żarliwość moralna, wyrosła również z walki — pokoleń minionych.

Wszystko, co najlepsze jest w naszej kulturze, w naszej tradycji wolnościowej, wyrosło z walki.

Nie tylko w naszej. „Gdy świat starożytny chylił się ku upadkowi — mówi Manifest Komunistyczny — dawne religie zostały zwyciężone przez religie chrześcijańską. Gdy w XVIII stuleciu idee chrześcijańskie zwyciężone zostały przez idee oświecenia, społeczeństwo feudalne toczyło swą śmiertelną walkę z rewolucyjną wówczas burżuazją. Idee wolności sumienia i wyznania wyraziły jedynie panowanie wolnej konkurencji w dziedzinie wiedzy”.

Wrogowie demokracji i socjalizmu, którzy za wszelką cenę chcą opóźnić proces Przemiany, oni, którzy kują broń srobotobójczą w podziemiu, mają nieraz frazes humanitarny na ustach: obrocy kultury zachodnio - europejskiej! Przypatrzcie się tym obrocom kultury na ławach naszych sądów, przypatrzcie się im na emigracji!

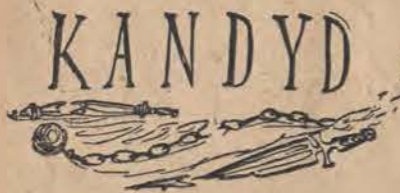
Czas wyprzedził ich tak nieubлагanie! Poruszają się w świecie dawno skazanym na zagładę, myślą w jego kategoriach, w kategoriach podziałów, wojen imperialistycznych, własności dziedzicznej i rynków zbytu. Są wśród nich ludzie, którzy biorą serio mit o kulturze atlantyckiej, mit nie lepszy od okrutnych legend hitlerowskich i odleglejszy od prawdy niż Atlantydą.

Każda rewolucja przyspiesza bicie serca i zmusza umysły do intensywnej pracy. Tak było po Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Ale to co uczyniła Rewolucja Październikowa, ale to, czego dokonał Związek Republiki Rad w ciągu swego istnienia, jest bez porównania bardziej wstrząsające i brzemienne w następstwa dla całego świata.

Rewolucja Październikowa i zwycięstwo Związku Radzieckiego nad Hitlerem to fakty o decydującym znaczeniu również i szczególnie dla Polski. Rozwój życia w Polsce od lipcowego Manifestu PKWN po zjednoczenie ruchu robotniczego, od reformy rolnej po zagadnienie socjalistycznej przebudowy rolnictwa w przyszłości — to nie tylko budowa nowych form ustrojowych, to zarazem tworzenie nowego typu człowieka.

Walka o nowy kształt człowieka w Polsce już się zaczęła. Będzie na pewno niełatwa. Ale wiemy już dzisiaj, że nowy humanizm może być wcielony w życie jedynie na podstawach demokracji i socjalizmu. Nowy humanizm, któremu nie będą mogły zadać ciosu wojny imperialistyczne, humanizm, który nie będzie podlegał wahaniom w zależności od wahań na giełdzie światowego kapitału; jedynie możliwy w naszej epoce humanizm, który zdolny jest, po latach wojen i zamętu, unieść wielkie odrodzenie człowieka, narodu, ludzkości.

Mieczysław Jastrun



OBLICZE MIASTA

Gdy Babuk, Scyta z nadbrzeży rzeki Oxus, udał się w drogę, aby poznać świat, „przybył — jak pisze Voltaire — do ogromnego miasta przez starożytne przedmieście, o wyglądzie na wskroś barbarzyńskim, rażącym oczy gminnością i plugaństwem. Cała ta część miasta mocno trąciła wiekiem, w którym ją zbudowano”.

Gdyby nie to, że Voltaire podaje o przybyciu Babuka do Persepolis, sądzilibyśmy, że ów Scyta znalazł się na przedmieściach przedwojennej Warszawy. Te dzielnice rażące oczy gminnością, o wyglądzie na wskroś barbarzyńskim, trąciły mocno wiekiem, w którym je zbudowano. A był to — dodajmy — wiek panowania kapitalizmu. Oskarżał go na kartach „Przedwiosnia” Stefan Zeromski ustami towarzyski „Karyll”: „Obecny ustrój kapitalistyczny prowadzi całą ludność do upadku. Tutaj, w tym mieście Warszawie, 85 procent dzieci w wieku szkolnym ma początki suchot. Przeciętna długość życia robotnika wynosi 39 lat, przeciętna długość życia księdza 60 lat. W roku 1918 na 33.000 wypadków śmierci w Warszawie 25.000 było zmarnych na suchoty. Masy robotnicze pozabawione są kultury. Ich twórcze sily nie są wykorzystane. Poziom kulturalny burżuazji obniża się również. Pięniad rządzą wszystkimi i wszystkim”.

Ten posępny obraz, jaki dostrzegł Stefan Zeromski, był tym bolesniejszy dla pisarza, że łamał wszelkie jego nadzieje związane z niepodległością. Wielki pisarz oczyma realisty dostrzegł spętanie przez kapitalizm odradzającej się Polski i przestępstwa burżuazji, widząc jej rozkład, przed ostatecznym upadkiem.

Przewidywania Zeromskiego w zupełności się spełniły. Klasa robotnicza, przejmując w trudnych warunkach władzę po burżuazji, przekreśliła bezpowrotnie jej rządy i rozpoczęła walkę o odbudowę. O odbudowę pojmowaną w jak najszerszym sensie społecznym i moralnym. W spadku — uciekinierzy do Zaleszczyk przekazywali owo przedmieście o wyglądzie barbarzyńskim, godne zjadliwego pióra francuskiego filozofa, i spalane uporem miast. Dziedzictwo na miarę Borów-Komorowskich, Pelczyńskich, Raczkiwiczów i Doboszyńskich.

Jakż jest odmienny każdy warszawski lipiec od ponurego obrazu skróconego piórem wielkiego pisarza. Radosne wiadomości o przemianach urbanistycznych stolicy, wypierają jak charakterystyczne dla przedwojennych stosunków statystyki konyających na suchoty. „W porównaniu z okresem przedwojennym — powiedział w dn. 3 lipca przewodniczący KC PZPR Bolesław Bierut na I Warszawskiej Konferencji Partyjnej — liczba zgonów w 1945 r. wzrosła o 73,5 proc., natomiast w 1946 r. była już mniejsza w porównaniu z latami przedwojennymi o 7 proc., w r. 1947 o 22 proc., a w r. 1948 o 28,5 proc. Cyfra za rok 1945 jest wyrazem trudnych warunków życia ludności pracującej w okresie bezpośrednio powojennym, ale cyfry z lat następnych wskazują, jak głęboki przełom nastąpił w życiu mas w porównaniu z niedolą warunków kapitalistycznych. Bo przecież rok 1937 był okresem normalnego życia po wielu latach pokoju, a czyż można porównywać warunki przedwojenne z warunkami życia w mieście tak potwornie zniszczonym jak obecna Warszawa... W stosunku do lat przedwojennych przytoczone cyfry są jaskrawym oskarżeniem kapitalizmu, jako ustroju społecznego. Takim samym oskarżeniem kapitalizm jest spuścizną warunków mieszkaniowych ludności pracującej Warszawy”.

Tymczasem oblicze miasta zmienia się gwałtownie z roku na rok. Zmieniają się ludzie nadający miastu określony charakter. Reprezentatywną postacią powojennej Warszawy nie jest już mieszczuch dobiegający się na spekulacjach, który udając „wielkiego” pana jeździł dorozką w Aleje, w myśli popularnej piosenki. Bohaterem nowej Warszawy jest człowiek w szarej bluzie, robotnik odbudowujący swoje miasto liczące dziś 640 tys. mieszkańców a jutro milion; bohaterem jest przodownik pracy, mieszkający w słońcu i zieleni. Jak głęboko postacie tych ludzi zrosły się już z obrazem miasta, niech świadczy list dzieci, które nadeszły go do pracowników „Betonstalu”:

Kochani robotnicy,
My dzieci klasy IIB, szkoły 75 w Ogrodzie Sadkim — piszemy do Was list, bo chcemy donieść, że bardzo Was kochamy i pracy ciężką pracujemy w warunkach i przy budowach.
Chcielibyśmy poznać Waszych przedowników, bo i my mamy swoich w nauce, a jako czyn 1-majowy przyrzekamy, że będziemy się pilnie uczyć, żebyśmy mogli Was naśladować.
Dn. 1 maj 1949 r.

Kl. IIB, Szk. 75

Fond oryginalnym listu, który można zobaczyć w lokalu kierownictwa spółzawodnictwa pracy wśród robotników „Betonstalu” na trasie W—Z, wiszą dwie czerwone wstęgi z odcisniętymi na nich złoconymi cyframi: 261% i 338%.

Zestawienie aż nado wymowne.

LUCJAN RUDNICKI

Z więzienia na wolność

W kaliskim więzieniu rządził pułkownik Hallecki, od niedawna rozlewny liberal, choć przed rokiem jeszcze traktował więźniów politycznych brutalnie, o czym dowiedziałem się dopiero po kilku latach. Był to człowiek o szerokich aspiracjach towarzyskich, zawsze wytwornie ubrany, świeżo wmyty i wygolony mistrzowsko. Nie wiem, jak ze śpiewem, lecz wino i kobiety pochłaniały go z uszczerbkiem dla urzędowania. Co prawda, jego świetni pomocnicy, zwłaszcza starszy strażnik Lis, uśmiechniętymi służbowymi mogłoby zaimponować wieziennikom całej Kongresówki. Ale o tym później.

Otóż zaraz na drugi dzień po przybyciu do Kalisza, pułkownik złożył mi wizytę w całym blasku swej władzy. Pozdrowił mnie wznosząc rękę w białej rękawiczce ku czapce, jakby salutował sztandar polityczny. Odpowiedziałem godnym pochyleciem korpusu. Trzy nazwiska i rozwinięta broda dostatecznie świadczyły o mej powadze. Na płycie żelaznej wystającej z muru leżała „Boska komedia” Daniego oprawna w polskórek. Zmątwiony złocony tytuł na grzbiecie oprawy nadawał cel blasku. Gość pochylił się nad książką: — Zadzroszczę panu czasu, święta rzecz! — komplementował jednocześnie dzieło i czytającego.

Książkę otrzymałem przypadkowo, bez wyboru, i nie mogłem się do niej wciągnąć, jak niedawno jeszcze do „Pana Tadeusza”.

Mamy tu w bibliotece największych mistrzów światowej literatury — mówi dalej — poczynając od Homera, jest trochę książek naukowych, w ogóle około pięćset tomów.

Pytam o katalog. Nie, katalogu nie ma i trochę brak porządku, lecz przy zgodnym współdziałaniu więźniów z kancelarią wiele się da naprawić. Ja, na przykład, mogę sobie książki sam wybierać, a było by może wskazane, bym się zajął katalogiem. Trochę to nie przepiszowo, ale życie ziemne, on posiada jednak na swej gospodarce pewną autonomię.

Wyrażam zdziwienie, że przy tym wszystkim spacerują tylko dwie godziny, a oddziałowi nie pozwalają więźniom odwiedzać się wzajemnie. Gdy naczelnik daje przykłady wyjątkowej swobody w jego więzieniu, przedstawiam wolność w Butyrkach. Hallecki się uśmiecha, wyjaśnia poufnie zniżonym głosem różnicę postępowania administracji w Rosji centralnej i na peryferiach i kończy zapewnieniem, że będą wyjątki, jeżeli, rzecz oczywista, więźniowie nie utrudnią mu pracy, czego się zresztą nie spodziewa i już dziś wyda odpowiednie zarządzenie podwładnym. Następuje znowu wojskowy salut, lecz już swobodnie, prawie koleżeńskie. Cóż, czasowa niewola nie obniża powagi dobrego żołnierza, który został jeńcem.

Spojrzałem mu w oczy badawczo, poszukując przyczyn jego postępowania, i nie w nich nie zobaczyłem poza szczerością: „taki jestem”. Hallecki miał pod pięćdziesiątkę, wyglądał młodzie, woreczki pod oczami zaznaczały się delikatną siatką i mówiły o pewnym zmęczeniu życiowym. Nazajutrz po wizycie oddano nam do użytku ogródek przy wschodniej ścianie gmachu, w którym mogliśmy przebywać wszyscy jednocześnie od śniadania do godziny siedemnastej. Gimnastyka, śpiew, czytanie na świeżym powietrzu, dyskusje. Kto się chciał bardziej skupić nad książką, wracał pod dach. Pozwolenie na przechodzenie z numeru do numeru i zbieranie się w dowolnej ilości w jednej celi.

Było nas około dwudziestu, sami robotnicy. Nauka, z braku nauczycieli, ograniczała się do czytania i dyskusji nad przeczytanym. Mieliliśmy piękny wybór książek. Z cenniejszych dla siebie zapamiętałem: „Historię kultury powszechnej” Kolba, „Historię kultury pierwotnej” Liperta, obie po rosyjsku, dzieła Byrona, „Don Kichota” Cervantesa, dzieła Wiktora Hugo, Puszkina. Sądząc z podpisów zostawionych nieopatrznie, bibliotekę założyła Koszutska (Vera), którą poznałem w Cholimogorach.

Mimo ciasnoty celek i nadzwyczaj małych okien, można się było uczyć i czekać na wolność, która się zbliżała do nas wszystkimi drogami. Stręki ekonomiczne, przerażające się w polityczne, doprowadzały do powstań. Lud parł na główną pozycję reakcji — samowładztwo. Car, przestraszony wypadkami, ogłosił dekret o parlamentarności doradczy. Śmiało się z tego robotnicy w całym państwie, śmiało się i my w więzieniu!

— Olek, Olek! — krzyczy Wolski do Granasa w obecności zastępcy naczelnika i kilku strażników — co doradzisz Mikolajowi?

— Niech się powiesi na jedwabnym sznurku!

— Nie usłucha! Nie minie go konopny! — wykrzykują inni.

Z literatury obu partii, napływającej do więzienia, wiedzieliśmy o wszystkich ważniejszych wydarzeniach. Ci, którzy nie umieli wykorzystać sprzyjających warunków do czytania, spędzając czas w bezczynnym oczekiwaniu, wybory mieliśmy wypadki. Pod ich wpływem stopniowo cały zespół więźniów przejął się przekonaniem, że jest ujmą siedzieć w miedzynm ogrodzeniu, gdy tuż za płotem można wziąć udział w ruchu. Zdanie to szerzył głównie Wincenty Makowski, człowiek cichy, skromny, pozostający stale jakby na uboczu spraw, o których gorąco dyskutowano. Najczęściej glosował nie wypowiadając się osobiście, a gdy go pytano, odpowiadał krótko, prawie obojętnie, żeby się nie zdawało, że chce pociągnąć kogoś za sobą. Był to człowiek mądry życiowo, choć mało czytał. Miał duże wymagania, które nie zawsze potrafił określić. Makowski mógł mieć wtedy około czterdziestki, a najstarszy z posterów nas pozostali, Feliks Chwiakowski, nie przekroczył trzydziestu lat życia.

Makowski i Chwiakowski — zupełna przeciwność. Pierwszy wzrostu nizej średniego, szczupły, o pociągłej twarzy z ostrym nosem, raczej słaby fizycznie, przez się inteligencji stawał się mocny w szóstym. Drugi wysoki, mocno zbudowa-

Lucjana Rudnickiego „Stare i nowe” — to fragment żywej historii rewolucyjnego ruchu robotniczego w Polsce. W latach zaborów, w okresie dwudziestoletnich rządów burżuazji polskiej i wreszcie podczas okupacji hitlerowskiej klasa robotnicza przewodziła w walce o wyzwolenie społeczne i narodowe. Ona stała na czele obozu, który powołał do życia Krajową Radę Narodową i Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, Ruch, który przez kilkadziesiąt lat prowadził naród do walki z uciskiem, w roku wielkiego zwycięstwa nad faszysmem wyprowadził Polskę z więzienia na wolność.

ny, z dużą głową, szerokim piętym nosem i obfita dolną wargą, pęsnął się siłą fizyczną jak paw ogonem. Nie tylko między nami, lecz w szerokim zasięgu nie ma takiego drugiego, dawał do zrozumienia, a w ważnej decydującej chwili stawał się zwykłym baranem i to na tyłach. Tę zupełną pewność siebie Chwiakowski czerpał z wygórowanego pojęcia o swej sile piciowej. Kobieta, która go pozna, twierdzi, nie odejście od niego w żadnych okolicznościach. Uśmiechnięty się szukając na próżno przewagi w jego oczach bez wyrazu, jakby zagubionych w szerokiej twarzy. Na tej podstawie uważał się również za produkującego rewolucjonistę. Nawet gdy go opuściła żona dla „kompletnego siabeusza”, nie zwątpił o swej wielkości.

Ale do rzeczy. Makowski, bardziej skupiony niż zwykle, jakby nieobecny między nami od kilku dni, zaprasza poufnie do celi Wolskiego, Oglazę, Przyrębła, Granasa i mnie. Ma projekt, do którego chyba nie trzeba nas zachęcać. Prześpiewaniem się siedzieć przy dogodnych warunkach ucieczki. Nie zaprosił wszystkich, żeby nie wzbudzić podejrzeń, po ustaleniu planu działania każdy z obecnych omówi sprawę z najbliższymi sobie towarzyszami. Projektował ucieczkę we dwóch, trzech, lecz mogło by to być trudniejsze niż wyjście wszystkich razem, a w najlepszym wypadku pogorszyły by warunki pozostałości karabinów a obok nich skrzyńka z nożami. Drzwi z dziedzińca na korytarz i do dyżurki stale otwarte, w godzinach popołudniowych często nikogo w niej nie ma, można się uzbroić i marść!

Towarzyszom blizszak oczy, rozpromienia ich radość. Przyrębł, postawny metalowiec, zaróżowiony z zadowolenia, zrywa się z miejsca, Wolski usadza go z powrotem pociąganiem z tyłu za marynarkę. Zaczęłam się uczyć algebry, skończyłem Liperta i czytam drugi tom Kolba. Jestem pewny, że nas niedługo uwalni ulica, a jeżeli nie, to i z zestania można uciec. W ogóle nie miałem czasu myśleć o ucieczce i zaskoczony nią, przedstawiam trudności. Dziwię się, że towarzysze Wincenty, rozumny realista, proponuje romantyczną akcję. Idzie przeciw o bitwę dwudziestu ludzi uzbrojonych w stare karabiny, z pułkiem dragonów, a czy choć wszyscy umieją strzelać?

— Rudnicki, poczekać, nie strzelajcie od razu — odpowiada Przyrębł szybko, w pogonięciu — może wcale nie będziemy strzelać, dobrze mieć śpiwów w rękach, berdanki zardzewiałe, trzeba zażądać bronią, a nawet bomba by się przydała...

Fowstaje Granas, esdek, z czarną sfalowaną czupryną, blizszkami oczami i brą zowawą hiszpanką. Nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat, a wyglądał na trzydzieści kilka. Spod krótkich wąsów błyskały mocne zęby. Uśmiech upodabiał go do amanta operowego, gniew — do wloskiego bandyty. I, przeważnie, albo się śmiał niewinnie albo był rozdrażniony. Zwracaliśmy się do niego ostrożnie, zwłaszcza z żartami. Były przyczyną na temat sprawności bojowej esdeków wyprowadzał go z równowagi. W akcji zbiorowej zawsze można było liczyć na niego. W obecności towarzyszy gotów na wszelkie niebezpieczeństwo, w pojedynkę, w odsobnieniu nie przejawiał inicjatywy: — Towarzysze Rudnicki chce nas przestraszyć bitwą! — zwrócił się do mnie ostro i za głośno. Makowski zaczął go uspokajać:

— Siadajcie, towarzyszu, siadajcie, tę gorącą sprawę musimy omówić na zimno. Granas, podrażniony, siada i wyraża pewność, że z pomocą organizacji można uniknąć bitwy. Wystarczy dwa parokonne wozy. W ciągu pół godziny, zanim się władze skomunikują, można być za miastem i rozpaść się po wsiach. A w najgorszym razie — dlaczego się obawiam nawet potyczki? Najważniejsze, szybko opuścić mury!

Oglazę, otrząskany już z bojową robotą w Częstochowie, również zapłonął do potyczki, wyraził jednak nieufność do starych berdanek. Trudno je ukryć a niepewne są w działaniu. Zdobycie ich też nasuwa obawę. A jeżeli ktoś ze strażników spostrzeże się w ostatniej chwili i zamknie dyżurkę? Zdobycy ją wtedy! Kilka bronią, kilka mazerówśkie, kilka okularów. Kozaków czy dragonów nie ma się co obawiać. W napadzie frontowej heroje, w pojedynkę tchórze, on sam z mazerem nie boi się nawet dziesięciu.

Uśmiechnęłam się do niego, bo to był jeden z tych miodych, co nie uznają śmierci i nie odróżniają świata od siebie. Jeden z tych, co w najgorszych warunkach oddychają całą pierśią i umieją usunąć każdą przeszkodę z drogi natarcia. Taki, na wet gdy padnie niespodzianie, pozostaje żywy między swymi, nieśmiertelny.

Wszyscy wypowiedzieli się za ucieczką. Makowskiemu i Granasowi polecono o-mówienie sprawy z miejscowymi organizacjami partyjnymi. Makowski miał już związek z działaczami Polskiej Partii Socjalistycznej Barszczewskim i Lipczyńskim, Granasowi udało się nawiązać stunki z Olejniczakiem, czynnym i ruchliwym członkiem Socjal-Demokracji. Organizacja pepesowska zapewniała dostarczenie trzech składanych karabinków mazerowskich, dziesięciu bronią, gotówkę niezbędną w drodze i dwóch furmanek, które dla bezpieczeństwa właścicieli miały być przez nas zabrane z pozorami przemyocy. Esdęcy mieli się zaopiekować czterema swymi zbiegami osobiście tuż za bramą więzienną. Zaofiarował też podobną pomoc trzem naszym ludziom, jeżeli zechcą z niej skorzystać. Nasi postanowili jednak przebiec się całym oddziałem i dopiero gdzieś w Winiarach lub jeszcze dalej rozpraszając się planowo. We-

ług opinii z miasta pogoń wojskowa była wykluczona. W grę wchodziła akcja policji i strażników więziennych, z których drwiliśmy sobie z góry.

Północny mur oparkania, nie strzeżony z zewnątrz, stoi przy drodze, wewnątrz przy nim mieliśmy ogród spacerowy, pilnowany słabo przez jednego strażnika. Wymianę korespondencji z miastem przetrzymujemy przez parkan wypróbowano kilkakrotnie. Tą drogą zaczęto dostarczać nam broń. Skrytkami na nią stały się przewiewy od centralnego ogrzewania.

W oznaczonym dniu, zaraz po śniadaniu, w czasie najbardziej odpowiednim, gdy większość strażników rozejdzie się z kryminalnymi więźniami do różnych robót w mieście, podzieliemy na wyłom trzema grupami. Jedni opamiętają starego odźwierznego przy bramie zewnętrznej, drudzy rozbroją strażnika przy głównych drzwiach wewnętrznym, reszta da baczność na nieprzewidziane przeszkody, i wszyscy razem przebiegną szybko przestrzeń od więzienia do wozów. Jest prawie pewne, że cała akcja w więzieniu przejdzie bez rozlewu krwi, gdyż jednak odźwierzni stawali opór, zdecydowano przejść po ich życiu.

„Krzyknąć nakazując i jeżeli nie ustąpią, bić” — pociął Makowski spokojnie lecz stanowczo. Odczuwaliśmy w nim powagę, choć nikt nie wiedział o jego trzy-nastoletniej praktyce rewolucyjnej i o fakcie, że broniąc czerwonego sztandaru w czasie styczniowej demonstracji w Częstochowie zastrzelił żandarm i sam został ciężko ranny. Makowski nie mówił o swych czynach nawet najbliższemu a mimo to wszyscy domyślali się, z kim mamy do czynienia. Prawdziwy żołnierz, zbrojne ramię klasy robotniczej, w przeciwnieństwie do tych, którzy wyczerpują swą wartość gadaniem. Połączenie woli czynu z umiejętnością mówienia jest rzadkie. Piękny śpiew o czynie podnosi ducha, śpiew czynem porwuje w walce, wiedzie do zwycięstwa.

Ogólne zaufanie i szacunek do Makowskiego potwierdziły się później faktem, iż w porę wycofał się z szeregów pilsdurczy. Wysokołony w Krakowie na drodze bojowej organizacji już po kilku miesiącach wyszedł z towarzystwa przyszłych pułkowników. Poznał ich na wstępie. Już wtedy należało do sztyku między starszymi bojówkarską lekceważąc dążności socjalistyczne. Zastępowano je ciągłymi do „Wyspiańskiego”.

Widziałem się ostatni raz z Makowskim w roku 1907 w Krakowie. Mieszkał na Krowoderskiej i utrzymywał się z rodziną za dwie korony dziennie, zdobywane stolarką.

— Tego nie spodziewałbym się po was — mówię na wieść, że już od półtora roku nie jest w bojówce.

— Cóż — odpowiada — nie mogłem być socjalistycznym rodzynkiem w burżuazyjnym cieście.

Przygotowania nasze dobiegają końca. Gimnastykę, śpiew i inne nasze czynności na spacerach wykonujemy z konieczności, żeby nie wzbudzić podejrzeń, no i dla dalszego transportu broni. Mimo to zwykły gwar spacerowy osłabł.

— Ho, ho, sprzykrzył się już widać spacer — mówi nam starszy strażnik Lis — chcieli by się pewno za mur!

— E — odpowiada Przyrębł, podmi-gując okiem — nie śpieszy nam się pod rynnę. Nie wiadomo, gdzie lepiej.

Śmieję się najbliżej, ale wszystkich niepokoi myśl, czy aby nie ujawnił się jakiś szczegół. Na wszelki wypadek uprawiamy zabawę znowu jak najgłówniej, śledząc bacznie, czy dozor nie przejawia wyjątkowej aktywności.

Przebiega kilka dni. Pistolety, pieniądze, wskazówki, gdzie możemy liczyć na pomoc, zostały już przerzucone i omówione szczegółowo. Jutro mamy otrzymać karabinki mazerowskie, najtrudniejsze do przechowania. Przydzielono je z góry Makowskiemu, Oglazę i Przyrębłowi. Będą je musieli przechowywać w siennikach i strzec nie wychodząc z cel aż do akcji. Potrzeba to zrobić tylko jedną dobę. Najpóźniej za dwa dni ruszymy na ulicę. Podniecenie wzrasta z godziny na godzinę. Makowski zachowuje się spokojnie, na uśmiechu odpowiada uśmiechem, zaniepokojenie uśmiecha kilkoma zdaniem o trudnościach przyszłej działalności, bo o ucieczce nawet mówić nie warto: spacer z małymi przeszkodami. Towarzysze po dwóch, po trzech, idąc pod rękę, zapuszczają się jak najdalej od wyznaczonego miejsca spacerów, sprawdzają jeszcze raz ustalone warunki działania. Granas jest czarujący. Opromieniony zadowoleniem rozmawia przyjaźnie, bez ironii nawet z towarzyszami niegodnymi siebie. Zdecydowa-uciecka do skrytki mało go zadowalała. Jestem mu najbliższy z pepesowców. W rozmowie z mną dziwi się, że wolał-bym ucieczkę mniej efektowną:

— Co wy? Pierwsza masowa ucieczka, będziemy przykładem!

Oglazę, Przyrębł pływają w przygotowaniu jak lososie w rzece przy tamie, przez którą mają się przerzucić. Wolski często podchodzi do mnie:

— Jak myślicie, uda się to?

— Na pewno — odpowiadam z powagą — tylko nie wszystkim.

Kilka dni z rzędu na schyłku września trwa piękna pogoda bez przymrozków. Wiosna, nie jesień. Nawet żółtawość liści wydaje się wiosenna, przechodząca w zielenie. Mgła — orzeźwiająca, jak woda Pili-cy w lipcowe poranki. Chciało się w nią dać nura i wypłynąć na brzeg nieokreślonych pragnień. Tak pewno prą w ciepła

przeźrzeć nowe pędy drzew. Jeszcze kilkanaście godzin, a popłyniemy gromadą w nieznaną.

Na jakąś godzinę przed zejściem do cel ćwiczymy się w śpiewie. Prócz Przyrębła i Oglazę, którzy rzmawiają ze strażnikami, stojmy wszyscy ścisłym kołem w miejscu najmniej narażonym na podsłuchanie. Śpiewamy na głosy, pianissimo zwrotkę „Gdy naród do boju wystąpił”, poczyni następująco moje pouczenie, na lipę, jak następnie nowe ciche pouczenie Makowskiego o śpiewie, który mamy rozpocząć po jutrze. Mówi szepem: „R-bimy ucieczkę, jakiej jeszcze nie było. Ucieczka się uda, ale mogą być niespodzianki. Sprawa poważna... Przymusu nie ma. Kto się obawia, kto nie jest gotów na wszystko, niech zostanie. Nie będzie to ujma... a gdyby się podczas roboty cofnął, to już...”

Przybliżyliśmy, jak na widok kładki, po której trzeba przejść nad przepaścią. Ten i ów zawałił się przelotnie, lecz poczucie solidarności zwyciężyło. Obiecał i mnie strach, zdawałem sobie sprawę, że nie wszyscy się szczęśliwie przebiją, i rozdziło się zwątpienie w celowość akcji. Po co? Lecz już po kilku sekundach żyłem decyzyjnie: śmierć, to śmierć! Wysuwają się Chwiakowski z wyrazem upokorzenia w twarzy. Nie pójdzie. Nie ma potrzeby takiego ryzyka...

Spykaliśmy na siebie w zakłopotaniu. Kto jeszcze?... Trzeba było naprawdę od-wagi, żeby się cofnąć widząc spóźnione oblicze „siłacza”. Wprawdopodobnie i on by się nie cofnął, mając poprzeczniaka. Poczuliśmy przewagę nad nim i pewność siebie. Tchorz pasował wszystkim na bohaterów. Zaspiewano „Czerwonego” z bojową werwą, jak na wyłomie zdobytej twierdzy.

Z nadmiaru wrażeń mało spałem tej nocy. Role się w głowie od kombinacji działania. Istna szachownica możliwości i wszystkie wiódą do celu. Niech się już dzień rozpoczął i przeszedł jak najprędzej. Po jutrze taniec...

I oto około ósmej, zaraz po rozdaniu chleba, otrzymujemy wiadomość nieprawdopodobną w prawdzie i wielkości. Szczępe mi jak strażnik przez wizytarkę: „Ogłosili wolność, robotnicy strajkują, wszystkie koleje stanęły!”

Wolność, robotnicy w powszechnym strajku walczą o większą — a my na co czekamy? Biegam po celi, jakby mnie w miejscu zamkniętym niespodzianie przed chwilą. Maci mi się w głowie, poszukując słabszego miejsca, przez które mógłbym się uwolnić z potrzasku.

Więść o rewolucji, idąca z początku szepem, rozlega się co raz głośniejsze w sąsiedzkich komunikatach między celami i grmi wreszcie w okrzykach po wszystkich piętrach:

— Precz z caratem!

— Precz z carską psianią!

— Niech żyje Polska! — krzyczą pepesowcy.

— Niech żyje rewolucja! — wtórują esdęcy.

— Niech żyje socjalizm! — huczy po całym gmachu.

Nienawieść przechodzi w gniew i szal niszczenia.

Drzwi cel więziennych w Kaliszu zaopatrzone były w drzewiczkę małe, przez które podawano pożywienie. Przyrębł wybija je pięściami, wysuwa głowę na korytarz i krzyczy na biegnącego ko niemu strażnika: „Otwieraj, cholero, otwierał! Bebechy wypruje! Towarzysze! Do szturm! Sami wyjdźmy!”

Po kilku minutach we wszystkich celach więźniów politycznych wybito otwory. Polecający przez nie na korytarz miski, chleb, kubki do herbaty i najcenniejsze naczynie przedmioty zdobyte ciężką walką: lampy naftowe i kalamarze z atramentem. W tej chwili nie istniało dla nas nie poza wolnością. Złoto, gdybyśmy je mieli przy sobie, polecałoby w strażników. Przyrębł w zapamiętaniu obrwał guziki, wyrzucił nawiętarynkarę.

Drzwi, ciężko okute, nie chciały ustąpić pod naporem pięści i obcasów, śpiewem wyczerpalnymi resztą sił, ogarniała nas rozpacz w bezsilności.

Koło dziesiątej doszła nas gazeta z manifestem. Z woli Bożej cesarz Wschodziejski, Król Polski, Wielki Książę Litewski itd. itd. zrezygnął z części władzy na rzecz ludu, któremu udzielał łaskawie wolności aumenia, przekonań, zrzeszeń, prasy... Następnie z tą samą wieścią zaczął obchodzący więźniów uroczystości w gali pułkownik Hallecki. Większość towarzyszy nie chciała z nim mówić. Niektórzy krzy-czeli ordynarnie po rusku: „Poszoł won!” Byłem i ja bliski takiego podzwromienia, lecz naczelnik uprzedził mnie wzruszonym głosem: „Gratuluję wielkiego zwycięstwa!” (Fozdrawiają z wielkiej pobie-dy).

Spojrzałem na niego wrogo, a on w dalszym ciągu po koleżeńsku:

— Tak, doczekaliśmy się nareszcie...

— Czegośmy się doczekali?! Wolność za kratami?! Pan sobie chyba drwi! Uwierzono nas za przekonania, ani jednej minuty nie powiniśmy tu przebywać...

— Rozumiem... Ja też byłem młody. Trochę cierpliwości, przyszedł manifest przyjdzie rozporządzenie ministerstwa spraw wewnętrznych. Konstytucja to porządek...

— Z pieczęcią carskiego żandarma — przerywam w rozdrażnieniu.

Z oblicza pułkownika wyziera przygnębienie. „Co mu dolega? Zgrał się w karty nocą? A może to wielkie zwycięstwo tak na niego działa”. Czujęjcie mnie papierosem. Po odmowie zapala sam, siada na żelaznej ławce utwierdzonej w murze i zaprasza mnie do zajęcia miejsca na przyzby — Przyszedł, bydlak, z wizytą! — nieście mi się w głowie. — Jeszcze jeden sympatyk!

Nie siadam i patrzę na niego wrogo: — Pan popelnia ciężkie przestępstwo!

(Dokończenie na str. 7)

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

TRAWA NA TRASIE

W tych dniach przyszło mi do głowy, aby zrobić sobie mały spacer po Warszawie! Mimo iż głowę miałem zaprzątą jakimiś tam zmartwieniami, kłopotami i trytami, postanowiłem przejść się na piechotę dobrze mi znaną i od tylu lat pamiętną linią Belweder — Plac Zamkowy.

Warszawa zawsze wydawała mi się piękną w takie letnie dni, bardzo prześwietlone blaskiem niebieskiego i niepokrytego chmurami nieba. Lekki wiatr porusza liśćmi lip w alejach i sypie kwiatem, który jak złoty pył spada na trojary. Niestety teraz wiatr ten porusza oprócz tumanów lipowego kwiecia, także chmury ceglastego prochu syjącego się z ruin. Ruin tych jest jednak coraz mniej i już wynurza się z nich prawdziwy i wruszający piękny kształt nowej Warszawy.

Gdy się tak idzie tym starym i znajomym szlakiem, pomieszanie wspomnień z nowymi wrażeniami napędza zdziwienie i daje to najprzyjemniejsze uczucie, jakie się ma wychodząc po raz pierwszy na ulice nieznanego miasta w podróży. Takie każde przejście ulicami Warszawy jest podróżą — tającą w sobie więcej wrażeń niż przemierzanie obcych choć pięknych krajów.

Tutaj, gdzie teraz stoi wyniosły dom PZPR — pamiętam, w 1902 roku wzniesiono pierwszy „secesyjny“ dom w Warszawie — i chodź się specjalnie go oglądać. Dziwiły skrzynki na kwiaty przy oknach, zdobione blaszanymi liśćmi kasztanów, powyginane oparcia balkonów. Dziś spokojna elewacja i duża przestrzeń przed domem partii jakże się wydają odmienne od tamtej podejrzanej nieco wiedeńskiej nowości. Prawie naprzeciw, pałac Poznańskich (Lubomirskich) wraca do dawnej świetności, szczęśliwy, że się pozbył ohydnej pseudo-gotyckiej kamienicy w sąsiedztwie. Plac Trzech Krzyży: trochę miasto, trochę miasteczko, trochę nawet stolica — odmienia ruiną kościoła świętego Aleksandra, która przypomina rysunki Piranesiego, na krągłą rotundę o szlachetnym kształcie. Nowy Świat — gama różnorodnych i kremowych domków biegających precyzyjnie zakreślonym łukiem. Na pałacu Staszica kopytka pęknięta miedzią, wleczona „drzewkiem“ ozdobionym wstążkami — znak zakończenia budowy. Wiele takich „drzewek“ spotyka się po drodze. U stóp pomnika Kopernika kamieniarze ciosają kamienie na cokół. Jest ich dwóch, jeden stary, w okularach, miarowo kuje siedząc okrzakiem na złocie bazaltu, drugi młody, jasny, z zacietą miną uderza młotkiem w duto, jak gdyby atakował wroga bagnietem. Ułamki kamieni odskakują na wszystkie strony, i ludzie czekający tutaj na autobus stoją w kamienistej chmurze polyskującej w niełitościwych promieniach



Prace na Trasie W — Z dobiegają końca.

Nie zdaje mi się słuszone to powiedzenie i gwałtownie oponuję. Oczywiście atmosfera jest tutaj nieco podniecona, ale to nie jest gorączka choroby, to jest gorączka twórczości. Jest to jakieś wzniesienie ponad przeciętność, podskoczony i radosny. Przypuszczam, że taka atmosfera panowała na próbach tragedji Ajschylosa, kiedy ze zbiorowego przeżycia wyłaniał się nowy kształt sztuki

mich stokach skarpy wiślanej, z taką gwałtownością, że zdawałoby się, trawa urosnie im, wytrysnie jak woda spod gwałtownie atakujących grabi — wszystko to wydaje się czymś podobnym do bajki.

Twórcza pomysłowość budowniczych trasy wyraża się w zadziwiających połączeniach pietyzmu dla piękna minionych czasów, dla uroku pamiętki — z śmiałym nowatorstwem. Pietyzm ten posunięty jest dość daleko: świadczy o tym umieszczenie obok wiaduktu prowadzącego na most Śląski lapidarium, gdzie złożono szczątki starej kolumny Zygmunta, dziwaczne posągi z syberyjskiego granitu, których pochodzenia nie umieli mi wyjaśnić młodzi przewodnicy, dopiero inżynier, mój rówieśnik, który pamięta dawną Warszawę, przypomniał mi, że te figury pochodzą z carskiego soboru zdobiącego dawniej „Saski Plac“.

Przez ten pietyzm dla dawnego piękna Warszawy uzyskujemy niespodziewane, wprost zdumiewające efekty. Jednym z najmniej spodziewanych jest odsłonięcie pałacu Radziwiłłowskiego. Za dawnych czasów stał on sobie na ulicy Bielańskiej, przytłoczony brzydkim budynkiem Banku Narodowego, kryjąc swoją skromną fasadę za płotem czy murem; tylnej fasady, jej piękne rozbudowanie, jej rozczłonkowanie nikt nawet nie widział i nie podejrzewał. Zupełnie nie zauważało się tej pięknej budowli, setki razy przechodziło się obok pałacu, bywało się w nim nawet, a nie spostrzegano się jego plastycznej wartości. Dzisiaj — powtarzano mi — nawet się ktoś zapytał: coż to za pałac zbudowaliście po środku trasy? A tu, o dziwo, nie tylko nie nie zbudowano, ale nawet nie nie dobudowano: pokryto pałac miedzianym dachem, otoczono francuskim ogródkiem, z uwagą „pokazano“ stare platany przed pałacem (tak rzadkie drzewa w Warszawie!) — i otrzymano efekt architektoniczny nadzwyczajny. Te odsłonięcia, pokazania dawniej zagubionych w tłoku budynków, to chyba najpiękniejsza zasługa twórców trasy. Kościół Kapucynów otoczony nowym, charakterystycznym, może trochę nazbyt wiejskim murkiem i zbyt niską bramą, pałac Paca, perspektywa w Arsenale, na wieże kościołów na Lesznie, kompleks skarbowych budynków Coraziego na nowej Marszałkowskiej (dawniej na Rymarskiej), widok na pałac Mostowskich, wreszcie „Gruba Kaśka“ połączona trawnikiem z pałacem Radziwiłłów, fasada pałacu Małachowskich — wszystko to niespodziewanie ukazuje swoje piękne oblicze. Nawet brzydki w zasadzie gmach Hipoteki dzięki otoczeniu, dzięki — pięknemu gąkowi lipowemu, na który spogląda przez drogę, nabral jakiejś godności a nawet okazałości.

A obok tego nowoczesne Linie tunelu, obu jego wylotów, jezdnia prowadząca na lekki, strzelisty most, bardzo piękne operowanie przestrzenią, rzeczy dotychczas w Warszawie niewidziane. Konstatuję to patrząc na perspektywę wylotu trasy na zachód. Stoję na wiadukcie i zdaje mi się, że jestem w jakimś nowym, niespodziewanie pięknym mieście, gdzie tylko tu i ówdzie jak we śnie poznaje się znajome z dawnych lat obiekty inaczej jak gdyby ustawione: kościół Kapucynów, przepiękne domy rzemiosła odziane w nowe hełmy miedzianych dachów, pałace wzdłuż Senatorskiej, gdzie już się nawet urzędu-

je! Ale wszystko co nowe, harmonizuje ze starym, zadziwiające jakie wszystko to polskie, jak związane z tradycją i charakterem miasta. Canaletto zachwyciłby się tym napewno, tak samo jak ja!

Z perspektywy wiaduktu otwiera się szeroki widok na zbocza po obu stronach wylotu linii. Z lewej te zbocza biegnące wzdłuż Senatorskiej są jeszcze w rękach junaków i ogrodników. Szare, starannie zagrabione, zapewne już zasiane trawą, z ciemnymi krzaczkami cisów posadzonymi tu i ówdzie. Na prawo, pod pałacem Paca i pod Hipoteką, zielenią się duża gęsta trawa. Trawa ta jest już tak silna, iż trzeba ją podkosić. Mocny chłopak z ogórzalnymi ramionami kładzie ją szerokim zamachem kosy.

Przyznam się, że nic na mnie nie zrobiło równie silnego wrażenia na trasie W—Z, jak to koszenie trawy. Jakto? Więc to co mnie otacza, już jest tak rzeczywiste, tak utwierdzone, tak zastygłe w swojej formie, tak bardzo dokonane, że nie tylko zasiana na nim trawa wzeszła, ale już jest tak bujna, że trzeba ją kosić? Czyż, bratku, nie przespał trochę tego czasu, kiedy ta trawa rosła, kiedy zakorzeniła się i kiedy szła w górę?

Przypatruję się kosiarzowi. Bardzo podobny do niego ogrodnik przybija małymi kółkami kwadraty darniny na zboczu w innym miejscu. Podobny junak pomaga robotnikom na lewym trawniku, obok elektrowni ukrytej w ścianach sztucznego wąwozu. Taki sam wyraz twarzy miał i ten architekt, który schodami wzdłuż kościoła świętej Anny prowadził mnie do operowej trochę dekoracji Mariensztatu... Coś tych ludzi wszystkich łączy, jakiś wspólny wyraz, jakiś sposób rozumienia się, nie pośpieszny ale bardzo pewny siebie, przekonanie o wadze każdej sprawy: czy wyrzucanie planu trasy przeznaczoną do książki o tej pracy, czy przybicie kawałka darniny, czy skoszenie trawy, czy otknowanie kolumny, czy włożenie jednej kostki bruku — wszystko jest ważne i od harmonii tych wszystkich czynności zależy całość. Odnoszę takie wrażenie, że powstał tutaj pewien typ „człowieka trasy“, uświadomiony, trochę dumny, dzielny i niezwykle sympatyczny typ. Wszyscy upodobnili się do siebie w swej pracy, a przecież zgromadzili się tutaj ludzie wszelkich rodzajów i z wszelkich okolic: krakowiacy, którzy brukują „serce Polski“, plac naokoło kolumny Zygmunta, ślązacy, którzy pracują na moście, Rosjanie, którzy montują ruchome schody. Wszyscy, i inżynierowie, i robotnicy i artyści, jak gdyby są jacyś inni, jacyś nowi. „Pewnie — powiada ktoś do mnie — szaleńcy z trasy, to nie są już zwyczajni ludzie“.

Z okna biura mojego brata rozciąga się wspaniały widok. Na obszernej białej płaszczyźnie Zamkowego Placu, początku Krakowskiego Przedmieścia i mostu — tysiące ludzi porusza się, oddając się najrozmaitszym pracom. Sprawia to wrażenie jakiegoś płótna flamandzkiego, Breughla naprzykład, gdzie na białej pościeli śniegu widzimy drobne, rozproszone, zajęte figurki ludzkie. Załuję, że żaden z malarzy zaabsorbowanych teraz plenerem czy malowaniem czerwonych raków na tle niebieskiej kotary (funkcje, których zawsze i z wielkim przekonaniem bronie!) nie oderwał się od tej pracy, i nie namalował takiego breughlowsko-polskiego obrazu. Wielka szkoda! Postaram się go zastąpić:

A więc po prawej stronie, w rogu, przed zielonkawą fasadą kościoła świętej Anny, wysunięta z drewnianego prowizorycznego baraku leży szara i blyszcząca kolumna przygotowana dla posągu króla Zygmunta; nadyż polorowacze jeszcze coś tam koło niej robią, ale mam wrażenie, że są to już tylko takie gesty prawie pieszczotliwe, którymi żegnają swoje dzieło, przed chwilą jeszcze tak codziennie bliskie, a które zaraz wzniesie się w górze obce już i jakby niczyje; obok oddział cieśli kładzie sanie, na których kolumna powędruje na miejsce sobie przeznaczone. Tam właśnie po lewej, stoją nad gotową już podstawą pomnika dwa wielkie żelazne żorawie, których przeryte, najeżone bloki przypominają trochę opadłe części wieży Eiffla, trochę jakiś wielki szafot, jak ten, na którym zginęła Joanna d'Arc w Rouen czy Savonarola we Florencji; przygotowane są do podniesienia wielkiego szarego bloku i postaci króla, z którą tak niedawno rozmawialiśmy familijnie w Muzeum Narodowym. W głębi obrazu przy kościele świętej Anny rośnie czerwony mur kaplicy loretańskiej, którą w ostatnich dniach

dopiero postanowiono odbudować. Ale i ona również będzie gotowa na 22 lipca. Jeżeli dom na Mariensztacie zbudowano w 19 dni, to co tam znaczy taka kaplica? Furda! Na murze kaplicznym roi się od robotników w niebieskich i szarych koszulach, inżynierowie w kapeluszach stoją tam także, mur rośnie w oczach — ale tego już żaden malarz nie wymaluje, malarstwo jest, psia krew, statyczne w założeniu i nic już na to nie pomoże! A tutaj ruch! Za kaplicą i za całym kościołem świętej Anny, za czerwonym szkieletem jej nowego nakładanego teraz dachu, otwiera się olbrzymia, daleka perspektywa. Nareszcie przestrzeń! Cała piękność Warszawy, jak ktoś powiedział, polega na rozrzućności przestrzeni. U nas ta rozrzućność dotychczas nie była znana, a i teraz stosuje się ją z pewną nieśmiałością. Środkiem obrazu, jak nerw, prosty, lekki, o białej nawierzchni, przebiega most Śląski, a dalej mgiełka oddalenia, drzewa niebieskie parku praskiego, głębiej ostatnie nadwiślańskie topole Saskiej Kępy, dawniej jakie piękne. W lewym kącie obrazu za żelaznymi żorawiami jeszcze ruiny, ciemne, poczerwieniałe, nietknięte ruiny, na które dopiero potem przyjdzie kolej. Nad nimi poczyna się wznosić mur katedry. Przy samym placu, obok wspaniałych nowych schodów wiodących do Pałacu pod Błachą, skromna kupka cegieł: to resztki Zamku. Ledwie uchwalono jego odbudowę, w ruinach tych powstał już barak „Panie — powiada jeden z robotników — jak skończymy trasę, to będzie nudno. Biermy się odrazu za Zamek!“ „Nie — mówi inny — ja się wynoszę na Żerań. Mam dosyć tej starzyzny, będę budował fabrykę samochodów!“ „Panie kochany — powiada inny — gdzie pan widzi te starzyzny? Kiedy tunel już stoi, to się wydaje głupstwem, jak gdyby on zawsze był, ale jakieś go budowali?... To chyba nowość taka praca?“ „I to w półtora roku!“ — dodaje inny. Patrząc na tę starzyznę! Jakież to piękne — i jakie harmonijne pogodzenie starego z nowym.

Przelotna rozmowa z robotnikami odkrywa mi jakieś załamki dramatów, jakieś echa konfliktów. Ież tutaj musiało być walk, wysiłków, rozczarowań, zwykłych ludzkich małości i upadków, zwykłych ludzkich poświęceń i leków. Jakich dramatyzm w tym samym zarysowaniu się skarpy na krągłej stoi kościół świętej Anny, i co za pomysłowość inżyniera Cebrutowicza, która go ocaliła zastrykami ziemnymi! Ież drobnych rywalizacji, ile wielkich wysiłków pracy, ile zdobywców! Chociażby wielkie współzawodnictwo tynkarzy, o którym mi tutaj tak opowiadano, jak o boju Achillesa z Hektorem!

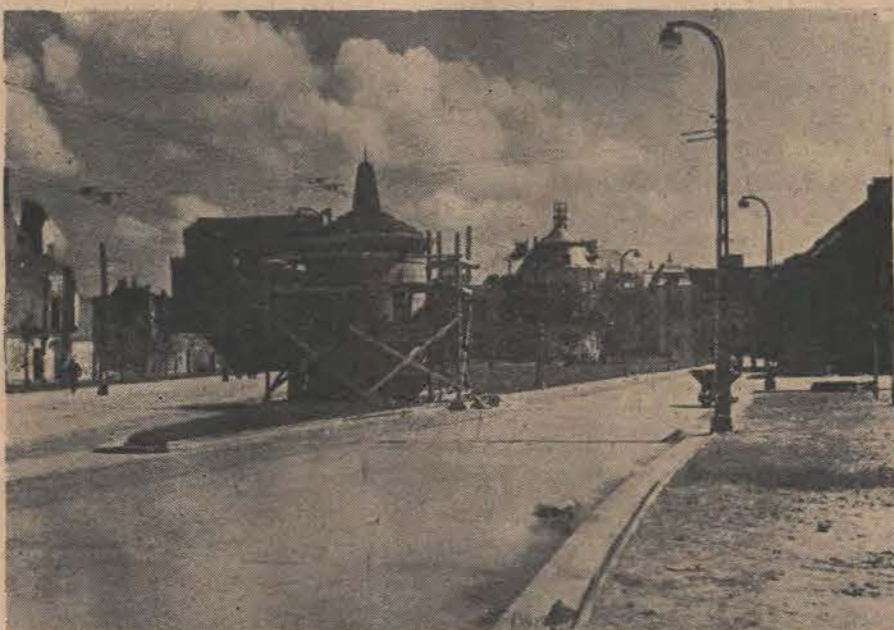
Po całym placu — wracam znowu do owego obiecane obrazu — rozrzucone tłumy brukarzy, furmanki, konie, młodzi i starzy woznice, ciężarówki, przyczepy, proste wozy chłopiekie, czego tu nie ma? Przewija się to, mija, krzyczy, żartuje, żyje. Zapominam o wszystkich moich poprzednich zmartwieniach i niepokojach, u-



Schedy ruchome na Trasie W — Z, dostarczone przez ZSRR.

ważam za chandryczenie wszystko, czym się od rana kłopotalem — i nagle staje mi się wśród tych ludzi bardzo dobrze. Załuję, że muszę się już stąd oddalić, czuję się niepotrzebny. Zadzroszczę po prostu mojemu bratu, że ma możliwość pracować tutaj, być „człowiekiem trasy W—Z.“

Jarosław Iwaszkiewicz



Odcinek T — W — Z między Bielańską a Nową Marszałkowską. Na pierwszym planie „Gruba Kaśka“.

niach prążącego słońca. Ułamek kamienia zadrapał w policzek młodszego robotnika, ale on na to nie zważa. A dalej wszędzie praca, praca, budowa, czerwone dachówki pałacu Potockich, który się staje ministerstwem kultury, na Prezydium Rady Ministrów rząd czarnych posągów — i naprzeciw, na szczycie ruin Hotelu Europejskiego, szereg posągów z brązu: to żołnierze na dachu tego budynku pracują gromadą.

Ale to wszystko jeszcze jest Warszawa, piękniejsza, nowa, wynurzająca się z muru ruin, jak syrena z płasku Wisły, ale Warszawa. Fejno tu rzeczy znanych, znanych, nie tylko zresztą pięknych. Z chwilą jednak, kiedy się przekracza płot z napisem: „budowa trasy W—Z, wejście wzbronione“, przechodzi się do innego, specjalnego, bardzo dziwnego i bardzo pięknego świata. (Wzbronione nie jest tak groźne, co krok spotyka się ludzi, którzy tak samo weszli jak i ja, i tak samo zagapieni i zadziwieni nie wiedzą, gdzie się znajdują). To także jest Warszawa, ale nie taka Warszawa, jaką znaliśmy w przeszłości: to jest Warszawa śmiałych, nowych pomysłów, pracowitych urzędywistów, słowem — Warszawa przyszłości.

Myślę, że ludzie, którzy pracowali na trasie W—Z w ciągu półtora roku, wspominać będą ten okres życia jako istnienie w innych wymiarach. I to najbardziej uderza, kiedy się wchodzi na teren budowy, atmosfera tam panuje zupełnie osobliwa.

Jeden ze spotkanych inżynierów powiedział mi:

— No, widzi pan tutaj tę garstkę wariatów, którzy niewiadomo z czego robią nie wiadomo co!



Nowe domy przy Mariensztacie — w głębi kościół św. Anny.

I. „Maciej wy odwagę Lenina, żeby wszcząć dzieło nieznanne, zburzyć stare i wspaniałe nowe?”

STEFAN ŻEROMSKI

Zaczęłam wędrówkę po trasie W-Z od ul. Piwnej. Szedłem tam od strony rynku Starego Miasta brudnymi, pełnymi gruzów uliczkami. Ulica Piwna nie jest częścią trasy W-Z; wąską i ciemną gardzielą, pełną kamieni i błota, łączy się z Placem Zamkowym.

Ulica Piwna jest martwa. Widok jej stanowi zwykły pejzaż zniszczonego miasta. Osmałone ogniem ściany oporowe lub fasady domów sterczą jak kikuty usychłych drzew ściętych uderzeniem pioruna.

ny na szynach. Cokół kolumny Zygmunta, wtłoczony pomiędzy stalowe ramiona dźwigu, wygląda jak pień ściętego, odartego z kory drzewa. Robotnicy, napinając liny, przymocowują uchwytyami granitowy obelisk, przyciągając go w ten sposób przy pomocy dźwigu bliżej cokołu.

Idźmy dalej. Z ponad wylotu tunelu otwiera się pejzaż nowego miasta. Przestrzeń, słońce i zieleń oto składowe elementy w które wkomponowano osiedle, rozplanowane u stóp skarpy wiślanej.

LESŁAW M. BARTELSKI

został od zielonej skarpy, białym obmurowaniem; wtłoczony dawniej między domy — obecnie zyskał zupełnie nową, korzystną perspektywę.

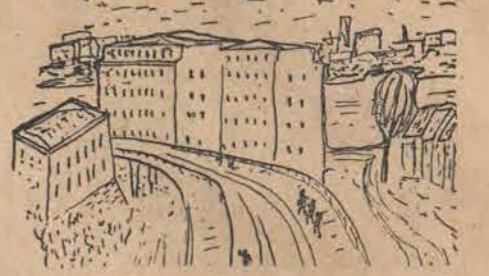
Niestety, gdy patrzeć od strony tunelu na południe, raczej na południowy zachód, piękny pałac Radziwiłłów, położony przy Bielańskiej przesłaniają jeszcze wypalone mury wielkiej kamienicy, stojącej na tyłach gmachu Banku Narodowego.

Na dobrą sprawę jurdyka jest zawieszona przez chciwych magnatów i magistrat miasta zamierza pozwać ich przed sąd. Jest to już małe miasteczko z własnym, odrębnym magistratem.

D Z I E Ł O I

ludzkiej i panoszenia się przywilejów warst posiadających. BOLESŁAW BIERUT

Wracam jeszcze raz popatrzeć na trasę. Zachodzące słońce barwi jasne fasady kamieniczek nad tunelem. Na stalowym niebie gólabie kołują ponad dachami.



Zacieśnienie zagadnienia przebudowy stolicy jedynie do opisu trasy W-Z i wrażeń z niej wyniesionych byłoby zniekształceniem istotnego obrazu całości.

Zacieśnienie zagadnienia przebudowy stolicy jedynie do opisu trasy W-Z i wrażeń z niej wyniesionych byłoby zniekształceniem istotnego obrazu całości, pominięciem olbrzymiego wysiłku, jaki został dokonany, jakiego jesteśmy świadkami.

II.

Nowa Warszawa nie może być powtórzeniem dawnej, nie może być poprawionym jedynie powtórzeniem przedwojennego zbiorowiska prywatnych interesów kapitalistycznego społeczeństwa, nie może być odbiciem sprężynności, rozszarpujących to społeczeństwo, nie może być widownią i podłożem wyżysku pracy

JÓZEF SIGALIN

T R A S A

KILKA SŁÓW O NIEWYKORZYSTANEJ OKAZII LIKWIDACJI NIEKTÓRYCH

ODŁOGOWYch jest wiele. Próbuje je orać, jak kto może. Nie zawsze coś wyrasta. Czasem podłoże marne, czasem gleba uboga, czasem siewca słaby.

Bardzo wiele ciekawych procesów, zarówno obiektywnych — dotyczących spraw urbanistyki, techniki, produkcji, jak i subiektywnych — związanych z ludźmi — zaszło na Trasie WZ w czasie dwudziestu niespełna miesięcy jej budowania.

Praca na Trasie WZ nie miała cech normalnej budowy toczącej się za wysokim ogrodzeniem z desek. Tu ludzie projektowali i budowali niemalże na scenie, przy odsłoniętej kurtynie.

Pracę na Trasie WZ nie miała cech normalnej budowy toczącej się za wysokim ogrodzeniem z desek. Tu ludzie projektowali i budowali niemalże na scenie, przy odsłoniętej kurtynie.



z człowiekiem, który z budowy po jej zakończeniu będzie korzystał, był codzienny, bezpośredni. Wywierano to niezwykły wpływ na pracę projektantów, na pracę robotników, było podjęte, zmuszało do humanizmu w projektowaniu, zmuszało do tempa w wykonawstwie, zmuszało do wykonywania roboty tak, aby jej wyraz plastyczny był dla ludzi bliski, zrozumiały i ludzi tych wychowujący.

Sprawa zbudowania trasy komunikacyjnej, która byłaby dogodna dla ludzi jadących w samochodach, tramwajach, autobusach, dla ludzi idących pieszo, spr-



Wiadukt przed mostem Śląsko-Dąbrowskim.

kiennym, wypełnionym miatem wapiennym, przemieszonym z ziemią.

Trzeba uciekać z ulicy Piwnej! Te ruiny straszą tym więcej, że parę kroków stąd, za załomem ulicy, otwiera się inny świat. Rozmiar zniszczenia tej ulicy, niekniętej śladami odbudowy, przewodzi na myśl stare, zapyłone dekoracje teatralne.

Trzeba uciekać z ulicy Piwnej w słońce i zieleń. Zaraz za rogiem oszalała nas jakże inny pejzaż, uderza rozpiętość przestrzeni, szerokość nieba nad miastem.

Na Placu Zamkowym warczą kompresory. Miotły pneumatyczne ryją powierzchnię Placu, krusząc betonowe nawierzchnie. Niemal każdy metr kwadratowy jest tutaj wypełniony pracującymi. Po środku zawisł jak srebrna pajęczyna, rozpięta na tle nieba, wielki dźwиг portalowy, osadzo-



ciem dalekich, podmiejskich lasów Wawra i Anina, zaznaczonych delikatną siwą linią na jasnej płamie nieba. U mych stóp, biegnie wiadukt i most Śląsko-Dąbrowski, wspaniała aleja, która ginie w zabudowaniach Pragi, tworząc szeroką, pełną słońca arterię.

Plac Zamkowy to centrum trasy W-Z. Cały jej wschodni odcinek widać jak na dłoni. Jeśli się dobrze wpatrzeć, wówczas daleko poza budynkami Dyrekcji Kolejowej na Pradze dostrzec można jej zakończenie i powiązanie z ul. Radziwiłłowską.

Trasa, jaką widać z Placu Zamkowego, gra kolorami — mocną, ostrą czerwienią opada mur oporowy przy kościele św. Anny, spływając w dół po stoku skarpy ku Mariensztadtu.

W miejsce dawnej, pełnej zaniedbanych domów czynszowych dzielnicy wyrosła jasna nasłodka słońcem i otoczona zielenią grupa kamieniczek. Małe dwupiętrowe omki blizszo jak gwiazdozbiór.

Po drugiej stronie wiaduktu wyrasta świecące świeżym jasnym tynkiem zasłonięty dawniej przez wysoki Nowy Zjazd, piękny pałacyk pod Białą.

Przebiecie trasy W-Z pozwoliło na odsłonięcie zabytkowych budowli, które przedtem ginęły przytłoczone ciężarem późniejszych zabudowań dawnego wiaduktu.

Kościół sprawił notę bene budowniczym trasy W-Z niemilą niespodziankę; usiłował niczym swawolny proboszcz zjechać po skarpie w dół ku Mariensztadtu.

Ponad tunelem bieje rząd rokokowych kamieniczek, odbudowanych w każdym szczególe. Gzymsy, wykusze, wsporniki, płaskorzeźby, zdobiące fasady zabytkowych domów.

Przechodzę przez tunel. Odgłos kroków brzmi głucho i miesza się ze stukiem młotków. Tunel ma 196 mtr. długości, jest jasny, wewnątrz jego, wyłożone białymi kafkami, lśni jak podbrzusze wiślanej ryby, świecącej jasną perłową łuską.

Przechodzę przez tunel. Odgłos kroków brzmi głucho i miesza się ze stukiem młotków. Tunel ma 196 mtr. długości, jest jasny, wewnątrz jego, wyłożone białymi kafkami, lśni jak podbrzusze wiślanej ryby, świecącej jasną perłową łuską.

ELEMENTY

budowy stolicy. Niedawno otwarta linia średnicowa, przebiecie Nowej Marszałkowskiej przez ruiny getta w kierunku Zoliborza i prace nad poszerzeniem jej na odcinku od Ogrodu Saskiego do Dworca Śródmiejskiego, Dom Słowa Polskiego, os



Saska, Centralny dom PZPR, robotnicze osiedla na Mokotowie, Mirowie, Nowym Mieście, Muranowie, Bielanych, projektowana kolej podziemna — stanowią dalsze ogniw wielkiego planu, bynajmniej nie wyczerpujące zagadnienia przebudowy. Osiągnięcia te przypisać należy nie tylko wysiłkowi dziesiątki tysięcy robotników i planowej gospodarce materiałowej, koncepcjom urbanistycznym Nowej Warszawy, zakrojonym na wielką, niespotykaną u nas dotąd skalę — podstawie tych osiągnięć w tak krótkim czasie i przy tak wielkich zniszczeniach stanowią przede wszystkim przemiany ustrojowe. Kto nie rozumie sensu tych przemian, ten nie będzie w stanie pojąć przemian urbanistycznych, jakie dokonują się w stolicy. Sięgnięcie niejako do „korzenia” sprawy odsłoni szereg powikłanych zagadnień i wskaże na rozwiązania. „Chodzi o to, żeby złączyć siły poruszające, które, świadomie lub

nieświadomie, a nawet bardzo często nieświadomie — są ukryte poza pobudkami ludźmi”, pisał Fryderyk Engels w rozprawie „Ludwik Feuerbach i koniec klasycznej filozofii niemieckiej”. Przejęcie władzy w Polsce przez najbardziej dynamiczną siłę społeczną pozwoliło na przekroczenie chaosu i przypadkowości w odbudowie — i nie tylko w odbudowie — przez wyłaniające się możliwości planowego ujęcia tych zagadnień powiązanych w swej realizacji z podstawowymi zagadnieniami społecznymi.

Ambicje Warszawy kapitalistycznej straszły się w haśle „Warszawa w kwiatkach”, podczas gdy ropiały nędzą robotnicze przedmieścia, podczas gdy ludzie dławili się w blokach czynszowych kamienic, pozbawieni powietrza, słońca i zieleni, gdy każdy metr ziemi w mieście był obiektem spekulacji. Te elementy uniemożliwiały przed wojną jakiegokolwiek przemiany urbanistyczne miasta, które rozrastało się chaotycznie i w którym wzrastała liczba wielopokojowych mieszkań zajmowanych przez stosunkowo szczupłą warstwę ludzi. Adam Próchnik, ideolog robotniczej spójności mieszkalniczej, przestrzegał: „Z punktu widzenia człowieka nie traci się z oczu stolicy, ale z punktu widzenia stolicy łatwo zapomnieć o człowieku”.

Historia Warszawy powojennej, pełna dramatycznych śpieć i konfliktów, pełna patosu nie należy do powszednich. Kiedy w styczniu 1945 r. stolica została wyzwolona, pierwsi żołnierze, którzy wkroczyli w jej mury, stwierdzić musieli z bólem, że miasta nie ma. Ulice zasypane gruzem, wypalone ściany domów, stanowiące jedynie materiał rozbiórkowy, świadczyły o tym, że w mieście skrzyżowania się szeregu dróg, w miejscu przecięcia się z Wisłą działu wód Bzury i Pilicy z jednej, a

Wieprza i Bugo-Narwi z drugiej strony, istniało niegdyś milionowe miasto, stolica kraju, centrum życia kulturalnego i politycznego. Po pobieżnym sprawdzeniu okazało się, że tylko osiedla peryferyjne — i to oczywiście nie wszystkie — nadają się do szybkiej odbudowy i natychmiastowego zamieszkania. Natomiast Warszawa jako stolica Polski nie istniała.

W miarę posuwania się naprzód zwycięskiej ofensywy Czerwonej Armii, komunikaty przynosiły wiadomości o wyzwolonych i nietkniętych zniszczeniem miastach. Łódź lub Kraków jako większe ośrodki miejskie, po niewielkich wkładach, mogły by z powodzeniem spełniać funkcje stolicy. Rząd jednak postanowił inaczej, nie tylko postanowił, lecz niezwłocznie wykonał. Pod koniec stycznia do małego jednopiętrowego domu na ul. Szelejnej, w głębi Pragi, zjechali członkowie Prezydium KRN z jej Prezydentem Bolesławem Bierutem na czele, zjechali członkowie Rządu Tymczasowego R. P. Wybite w lokalu szyby zastąpiono okiennicami, szczerze je zamkając od zewnątrz. W ten sposób było wprowadzić ciemno, lecz za to po pokojach nie hulał wiatr. Tak w anegdotycznym skrócie przedstawia się historia pierwszego dnia nowej Warszawy, stolicy Państwa Ludowego.

Gdy dziś patrzymy na ten okres i oceniamy postanowienie przeniesienia się czynników kierujących polityką państwową do Warszawy, to łatwo nam potwierdzić tę historyczną decyzję i uznać ją za bez wahania za jedyną słuszną. Wtedy był to gest prawdziwie heroiczny, dowodzący jednak dalekowzroczności i zdolności przewidywania, gest graniczący z romantyzmem. Argumenty bowiem przemawiające na rzecz pozostawienia stolicy w spalonym mieście, nie nadającym się do spełniania swych funkcji społecznych, musiały mieć podkład natury uczuciowej. Decyzją Rządu Tymczasowego z dnia 1 lutego 1945 r. przełamywała bierność i apatię, podkreślając zarazem znaczenie zniszczonego miasta dla całego państwa.

Decret z 24 maja 1945 r. o odbudowie Warszawy, skupiając czynniki kierujące tymi pracami w specjalnie stworzonych do tego organach, rozstrzygał spory kompetencyjne i decydował poniekąd o przyszłości. Art. 1 tego Dekretu postanawiał, co następuje: „W celu odbudowy stołecznej miasta Warszawy zgodnie z wolą Narodu Polskiego i na miarę odrodzonego Państwa Demokratycznego oraz w celu przywrócenia świetności Stolicy w bezprzykładowie barbarzyński sposób zniszczonej przez najeźdźcę hitlerowskiego, powołuje się Naczelną Radę Odbudowy m. st. Warszawy, Komitet Odbudowy Stolicy, oraz Biuro Odbudowy Stolicy”. Art. 3 ustalał skład Rady, do której weszli m. in. Prezydent Krajowej Rady Narodowej jako przewodniczący oraz Prezes Rady Ministrów w charakterze zastępcy przewodniczącego. Udzielił najwyższych czynników państwowych stanowią miarę docenienia przez te czynniki ważności przywrócenia Warszawie dawnego znaczenia jako stolicy i ośrodka dyspozycji politycznej, kulturalnej i administracyjnej.

Minął okres przypadkowości, zaczęła się w naszej urbanistyce epoka planowania. Każdy rozumiał, że odbudowa miasta, jeśli ma być przeprowadzona w skali państwowej, wymaga wielkiego wysiłku, u podstaw którego tkwił wielki plan rozwoju, kierujący etapami przekształceń i uwzględniający istotne potrzeby. Wtedy narodziły się konflikty, skrzyżowały się różnorodne koncepcje i poglądy na kształtowanie odbudowy. Jedni z fachowców byli zdania, że z Warszawy, z obrębów odbudowującej się stolicy, należy usunąć wszystkich niepotrzebnych mieszkańców, przesiedlając ich na Ziemię Odzyskaną, pozostawiając w mieście jedynie tych, którzy będą bezpośrednio związani z odbudową; drudzy opierali się takiemu stanowisku, wysuwając jako argument decydujący, że oznaczało by to przerwanie więzi z tymi, dla których miasto ma powstać i którzy z tym powstaniem powinni współdziałać. Zwyciężyła słuszną koncepcją humanistyczna nad technika. W ten sposób utrzymano miasto w jego podstawowych funkcjach, dając jednocześnie do załatwienia najkonieczniejszych „wyrw”.

Nowe konflikty pojawiły się w związku z przejściem do zagadnień szczegółowego planowania. W pierwszym okresie miasto odradzało się żywotowo, wylamując się spod przewidywanych, wyrozumianych planów, wzrastając po linii najmniejszego oporu i rządząc się własnymi prawami narzuconymi przez dzień bieżący. Życie dyktowało prawa krótkowzroczne, wypływające z doraźnych konieczności i potrzeb gospodarczych, nie obliczone na dłuższą metę. Zasady planu, których bezsporna słusność miała okazać się dopiero w przyszłości, były zniekształcane przez „partykantkę budowlaną”, marnującą zasoby energii i materiałów. Brak możliwości ocenienia różnic między prawidłowo przeprowadzonym planem a hierarchią potrzeb prowadził do ostrych zatargów i śpieć. Początki były więc nielatywne, nie łatwo było podejść do tych zagadnień i rozwiązać je w sposób należyty. Przeciwnie odradzanie się Warszawy z konieczności musiało odbywać się etapami podporządkowanymi w swym przebiegu konieczności wypracowania planów i podjęcia szczegółowych decyzji, odnośnie pewnych partyj odbudowy.

Ogólne założenia poszły jednak nie po linii najmniejszego oporu przez rekonstruowanie przedwojennych planów miasta, którego charakter kształtował się przypadkowo, lecz w kierunku wytyczenia za-



Prace brukarskie na Trasie W — Z.

sad budowy nowej Warszawy, której kompozycja architektoniczna odpowiadała by funkcji przyszłego miasta. Nie zapomniano o podstawowej zasadzie odbudowy stolicy, która miała stać się miastem zamieszkałym przez klasę robotniczą. Plany likwidowały przerosty i anomalie okresu gospodarki burżuazyjnej, kładąc nacisk na budowę szeregu wielkich osiedli robotniczych, w których zrealizowane zostaną podstawowe zasady nowoczesnej urbanistyki domagającej się trzech radości życia: przestrzeni, słońca i zieleni. Plan był więc w swych założeniach głęboko humanistyczny i w tym tkwi jego podstawowa wartość. Przebudowa stolicy została zaplanowana pod kątem widzenia istotnych potrzeb człowieka pracy, czemu podporządkowano etapy rozwoju.

Jednym z środków, prowadzących do celu, był dekret o komunalizacji gruntów na terenie m. st. Warszawy. Bez wprowadzenia go w życie nie do pomyslenia byłaby istotna praca nad odbudową. Możliwość przejścia przez miasto gruntów znajdujących się dotąd w posiadaniu prywatnych właścicieli rozwiązała kapitalne zagadnienie przebudowy, nieskropowanej w swych możliwościach. Przebiecie Nowej Marszałkowskiej, czy budowa trasy W—Z byłyby niemożliwe do zrealizowania w warunkach przedwojennych, kiedy jakiegokolwiek planowanie urbanistyczne uzależnione było od dobrej woli właścicieli posesji.



W związku z narastającymi potrzebami zjawili się wkrótce nowe trudności związane z techniką pracy. Tempo robót na odcinku odbudowy było na ogół opieszale, a koszty za wysokie, niewspółmierne z możliwościami finansowymi Skarbu. Kapitalistyczny typ gospodarki musiał być przekreślony; jego formy były formami pracy rzemieślniczej, chałupniczej, obliczonej na budowę drobnych wycinków, nie zaś olbrzymiej całości. Zadanie, jakim była odbudowa Warszawy, wymagało wypracowania nowych form pracy i unowocześnienia środków produkcji. Bezspornie tych faktów skierowała wysiłki gromadniczego na nowe tory.

Podstawowym zagadnieniem, które rozwiązywało wiele dalszych, było uspołecznienie przedsiębiorstw budowlanych. Oczywiście jest, że nie można było wprowadzić socjalistycznych metod pracy w ramach przedsiębiorstw o wyraźnie kapitalistycznym obliczu. Stanowiło by to nonsens, eksperyment, który by mógł zakończyć się nieoczekiwanie konsekwencjami i zaciążyć na dalszym rozwoju odbudowy. Przedsiębiorstwa budowlane typu kapitalistycznego, obliczone przede wszystkim na osiągnięcie łatwych zysków, ich rozdrobnienie, jak i ich konkurencyjna „walka o byt”, która w warunkach dzisiejszego u-

stroju stanowiła jeden z typowych przejawów walki klasowej, stwarzały nielateralne warunki pracy, co odbijało się w dużej mierze na spadku wydajności pracy robotników zatrudnionych w tych przedsiębiorstwach — na skutek braku odpowiedniej ilości fachowców budowlanych. Zapobiec temu mogło jedynie wprowadzenie nowego typu przedsiębiorstwa, które stosują daleko posuniętą racjonalizację metod pracy przez mechanizację, prefabrykację materiałów i system pracy zespołowej, pozwalającej na wykorzystanie fachowców w jak najlepszej mierze. Wydajność zaś mogła być podniesiona przez współzawodnictwo na tym odcinku, przez świadome i ideowe dążenie do przekształcenia warunków pracy.

Trasa W—Z jednoczy w sobie te wszystkie elementy. Stanowiąc pierwszą zakrojoną na szeroką skalę próbę przebudowy Warszawy, jest wielkim eksperymentem stosowania socjalistycznych metod pracy, eksperymentem, który wypadł dodatnio. Na trasie W—Z wprowadzono mechanizację metod pracy, co poza walorami czysto technicznymi, ma swój głębszy humanistyczny sens jako wyniesienie człowieka pracy na wyższy stopień rozwoju cywilizacyjnego. Prefabrykacja materiałów oraz racjonalizacja prowadzi do daleko posuniętej oszczędności zarówno środków jak czasu. Współzawodnictwo zaś, jakie na odcinku budowlanym wprowadził przed rękiem murarza Witold Majorowski, oraz wprowadzenie systemu zespołów murarskich przez Michała Krajewskiego, dziś wicedyrektora Departamentu w Ministerstwie Budownictwa, podniosło nie tylko wydajność a co za tym idzie, stopień życiową biorących udział w współzawodnictwie, lecz także pogłębiło świadomość polityczną człowieka pracy, budującego swoje miasto. Ten motyw nie może być pominięty w naszych rozważaniach. Przed trzema laty większość pracujących, tych „aktorów”, o których pisał inż. Piotrowski, była jeszcze ślepa, nie rozumiejąca istotnych współczynników przemian, uwikłana w kompleksy wyniesione z twardej szkoły kapitalizmu. Uświadomienie zaś sobie zadań, jakie na nią spadają, pozwoliło załozce trasy W—Z nie tylko na wykonanie robót zgodnie z harmonogramem kierownictwa, lecz w wielu wypadkach na wyprzedzenie go. Szybka budowa trasy W—Z stała się sprawą honoru pracujących. Praca przekształciła się w zaszczyt, przestając być przyczyną wycisku człowieka przez człowieka.

Mówiąc o trasie W—Z, mam na myśli nie tylko obraz rozwijającej się na przestrzeni 6 km wspaniałej przelotowej arterii komunikacyjnej, przywracającej życie martwym, sparalizowanym przez brak dowodu dzielnicom miasta, mam na myśli nie tylko włączenie zabytkowych budowli w nową Warszawę, nie tylko wspaniałe w swej treści i wykonaniu osiągnięcia techniki, jak tunel i most wybudowany w tak szybkim tempie — trasa W—Z przede wszystkim stanowi będzie dla nas przykład, jak typ gospodarki socjalistycznej zwycięsko wypiera szczytki gospodarki kapitalistycznej.

Niezrozumienie tej podstawowej prawdy będzie dowodzić, że zachowując się samym dziełem, nie dostrzegamy elementów treści, dzięki którym to dzieło powstało. Jeśli je zrozumiemy, będzie nam łatwiej przyswoić sobie dumne słowa Prezydenta Bieruta, rzucane na I Warszawskiej Konferencji PZPR:

„Nowa Warszawa, stolica państwa socjalistycznego, musi otrzymać swój piękny wyraz znamiennyj nową epoką prawdziwego humanizmu — epoką praw człowieka pracy”.

Lesław M. Bartelski

W — Z

ODŁOGÓW WE WSPÓŁCZESNEJ LITERATURZE POLSKIEJ

przyszedł i nie powiedział, nawet trudno nazwisko jego podać do prasy, ale z roboty nie schodził przez kilkadziesiąt godzin z rzędu. Grupa tych ostatnich była na Trasie WZ grupą decydującą. Jej ciężar gatunkowy przesądził o powodzeniu. Jeden z tej właśnie grupy bardzo prosto i trafnie ocenił zjawisko, które nazywamy „rosnącym szeregiem budowniczych socjalizmu”. Powiedział po prostu: „Pies na mnie w domu szczeka, bo już jestem jak obcy, dziecko pyta się: mamusi, jak

listycznej. Rzucone nasienie — Trasa WZ — okazało się zdrowe.

Setki, a nawet tysiące ludzi pracowały na Trasie. Dla każdego z nich była ta budowa ważnym fragmentem jego życia. Przelamywanie się jej w psychice było różne, przy czym linią podziału — jak wykazała praktyka — nie był stopień wykształcenia, lecz stopień świadomości klasowej. W mózgach robotników, architektów, inżynierów narodziły się tysiące myśli, sprzeczne, doświadczeń. Człowiek z Trasy WZ wyodrębnił się z otoczenia, będąc jednocześnie z otoczeniem tym powiązany wszystkimi ludzkimi więzami.

Po Trasie WZ przejeżdżają dziś na godzinę tysiące samochodów, przechodzą tysiące ludzi śpieszących się z pracy i do pracy, idących wyciem na spacer czy wracających od znajomych. Zjawisko Trasy WZ skończyło się jako budowa. Do tego o pociągu literackim już nie zdąży. Ale ludzie z Trasy WZ budują dziś nowe mosty, nowe fabryki, nowe mieszkania, nowe drogi. Dobrze byłoby, aby ci, co spóźnili się wówczas na pociąg, odnaleźli ich. Poznają ich łatwo, bo wszędzie gdzie są i gdzie będą, żywy będzie klimat pracy Trasy WZ i wyżej rosnąć będą zrebry socjalizmu. Można i trzeba pisać o nich i o ich pracy. Uprości to niezwykle dyskusję na temat realizmu socjalistycznego w literaturze polskiej.

Józef Sigalin

Nagroda literacka m. stoł. Warszawy



Pola Gojawiczyńska, autorka „Dziwoczął z Nowolipiek” i „Stolicy”, otrzymała tegoroczną nagrodę miasta Warszawy. Wyrocznie makomietę pisarki, której dawną i nową twórczość wiąże się ściśle z życiem stolicy, witamy z uznaniem i radością.

temu panu na imię — ale most, proszę pana, stoi i mogą się lody płynąć”. W ten sposób, a w tej chwili tylko w ten sposób, tacy ludzie przygotowują drogę dla mas robotniczych w ustroju socjalizmu, w którym robotnik będzie już mógł powiedzieć: „A po pracy poszedłem z Teresą i Kajkiem na spacer. Poszedłem do Parku Kultury i Odpoczynku nad Wisłę, wieczorem zaś byłem na wieczorne literackim, urządzonym przez zespół „Kuźnicy”. To, że most łódów się nie boi, będzie dla jego budowniczego naturalnym wynikiem normalnego dnia pracy. I trudno dziwić się reakcjom robotników wracających po przepracowanych dwóch zmianach na Trasie WZ, gdy z za drzw. „Paradisu” dochodziły ich dźwięki rozwydrzonego boogie-woogie.

Proces walki o socjalizm przechodzi głębokim nurtem i tkwi u samych źródeł życia narodu, nie zawsze znajdując bezpośrednie odzwierciedlenie w drobnych przejawach uskakujących bocznymi strumieniami życia. Proces ten jest bardzo realistyczny, z życiem związany, w życie wpleciony, z życia wypływający. A życie może być różne. Na budowie Trasy WZ życie było piękne. Dzień ukończenia Trasy dla wielu robotników, architektów, inżynierów jest niewątpliwie dniem ich wspólnego, a jednocześnie ich osobistego sukcesu. Nie zabraknie w tym dniu i nuty żalu. W żalu tym kryje się umiłowanie wykonanej pracy. Jednak niepowtarzalnej, bo w tej skali — pierwszej. W ostatnich dniach budowy wszystkich najbardziej elektryzowało zagadnienie trawy. Głównym pytaniem nękającym każdego robotnika, inżyniera czy dyrektora było: „czy wykiełkuje”. Otóż wykiełkowała. Wraz z nią wykiełkowały podstawy dla wielkiego rozmachu w budowie Warszawy socja-

STANISŁAW BRUCZ

FEDERICO GARCIA LORCA

Federico Garcia Lorca

SWIĘTY RAFAŁ

(Kordoba)

Federico Garcia Lorca, najwybitniejszy poeta hiszpański międzywojennego dwudziestolecia, padł pod kulami frankistów w Kordobie w pierwszych dniach sierpnia 1936 roku, to znaczy w drugim tygodniu wojny domowej. Stało się to na szosie nieopodal Granady, którą poeta uważał za swe miasto rodzinne i gdzie zwykł był spędzać letnie wakacje. Dziś wiemy, kto był właściwym inicjatorem tego zabójstwa: rozkaz zamordowania Lorci sięga poza kwatery gen. Franco do berlińskiego „ośrodka dyspozycji”, jakim był oświatowy „Instytut Ibero-Niemiecki”, kierowany przez hitlerowskiego generała Wilhelma von Vaupla. Lorca, republikanin i antyfaszysta, figurował tu na jednym z czołowych miejsc indeksu skazanców.

POEZJA

Federico Garcia Lorca urodził się 5 czerwca 1898 roku we wsi Puentevacas niedaleko Granady, w rodzinie zamożnych chłopów.

Lata dziecięce spędził w zagrodzie ojcowiskiej, lata chłopięce w gimnazjum w Almerii i liceum w Granadzie. W tym też mieście wstąpił na wydział Literatury i Prawa miejscowego uniwersytetu, gdzie jednym z jego profesorów był socjalista Fernando de los Rios, późniejszy minister oświaty Republiki Hiszpańskiej i protektor pierwszych teatralnych poczynań Lorci. Studia te, uwiecznione w r. 1923 dyplomem magistra praw, były dość urwane i kapryśne. W murach wszechniczy granadzkiej krystalizował się temperament artystyczny Lorci, który z razu wahał się między literaturą a muzyką. W owych latach zawiązała się trwała przyjaźń między przysięgłym, znakomitym poetą i znakomitym już wówczas kompozytorem Manuelem de Falla, przyjaźń, której Lorca zawiązała wykształcenie swego smaku muzycznego. Te zamknięcia rozbudziły w nim pasję tropienia po całej Hiszpanii szczytków pieśniowego folkloru, zwłaszcza andaluzyjskiej copli i petenery. Jednakże literatura wzięła górę nad muzyką, co stało się oczywiste wtedy, gdy Lorca wraz z grupą uczniów innego swego profesora, znanego historyka sztuki Dominguez Berrueta, odbył pierwszą wycieczkę do Madrytu: owocem tej podróży była pierwsza jego książka, cykl krótkich impresjonistycznych tekstów, wydanych w r. 1918 pod tytułem „Wrażenia i krajobrazy”. Pierwociny te jednak, powstałe pod wyraźnym wpływem Azorina, Lorca pomijał w późniejszych wydaniach swych dzieł.

Będąc jeszcze studentem przeniósł się Lorca na stałe do Madrytu, skąd jednak jeździł regularnie do Granady, zrazu po to, aby składać egzaminy, a po skończonych studiach po to, aby spędzać w mieście, które uważał za swą kolebkę, parę letnich tygodni. W Madrycie dostał się od razu w wir różnorodnych prądów artystycznych. Był to lata, jak wszędzie w Europie, wielkiego kwitnienia „izmów” i talentów. Dom Akademicki, gdzie zamieszkał młody andaluzyjczyk, był wówczas ogniskiem intensywnej fermentacji intelektualnej. Tu mieszkali, spotykali się i dyskutowali młodzi poeci, malarze i muzycy. Tu poznał Lorca Salvadora Dalí, późniejszą sławę malarstwa surrealistycznego, José Bergamina, z którym aż do zgonu łączący go wzajemnie przyjaźń poetyckiej i ideowej, poetę i essayistę Morenę Vila, reżysera Buñuela, twórcę głośnego filmu „Pies andaluzyjski”, wreszcie Guillerma de Torre, który jest dziś najlepszym znawcą i egzgetą poezji Lorci, najwierniejszym jego biografem.

W Madrycie zetknął się Lorca z „ultraizmem” — triumfującym wówczas awangardowym ruchem literackim, iberyjską odmianą futurystów. Młody poeta nie przystąpił do tego ruchu, choć uważnie śledził jego batalie i osiągnięcia. Gdy w r. 1921 ukazała się jego „Książka Wierszy” (Libro de Poemas), ultraiści usiłowali dopatrzeć się w niej wpływu poetyki utraistycznej. Nie bez słuszności — Lorca był bowiem wrażliwy na wszystkie prądy współczesności. Ale nie był ultraistą. Już wtedy, mimo że szukał jeszcze swej drogi poetyckiej, jedno było oczywiste: że chce być przede wszystkim Hiszpanem, że chce wrócić do Hiszpanii ożywczo i witalnie i Lope de Vega. Stronił więc zarówno od kosmopolityzmu ultraistów, jak od entuzjastów Miguela de Unamuno, który nawoływał wówczas do „afrykanizacji” Europy, chcąc się przeciwstawić hasłom europeizacji Hiszpanii.

Następny tom Lorci „Canciones” (Pieśni), ogłoszony w r. 1927, zawierał utwory pisane w latach 1921—1924. W okresie 1924—1927, kiedy Lorca wiele podróżował, wygłaszał odczyty, pisał swe pierwsze dramaty, powstały gitanos, które złożyły się na „Romancero gitano” (Romancero cygańskie), wydane w r. 1928. Książka ta, najświetniejsze dzieło Lorci, wysunęła go na czoło poetów Hiszpanii, i przełożona z biegiem lat na dwadzieścia języków, zyskała mu sławę światową. Poszczególne utwory z „Romancera” wróciły do ludu, z którego wyszły: — wybitny się imienia autora, stały się częścią doświadczenia ludowej liryki Półwyspu.

W r. 1931 ukazał się „Poema del Cante Jondo”, zbiór pieśni andaluzyjskich, pisanych w okresie powstawania „Książki wierszy”.

W r. 1930 Lorca wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Plonem tej wyprawy były „Oda do Walta Whitmana” oraz utwory zebrane i wydane przez José Bergamina w r. 1940 pod tytułem „Poeta w Nowym Yorku”. W drodze powrotnej do Hiszpanii zatrzymał się na Kubie, gdzie pod wpływem wpływu poezji Murzyna napisał poemat „Son”, ogłoszony przez Emilio Ballagoasa w „Antologii murzyńskiej poezji Ameryki Hiszpańskiej”.

W r. 1935 ukazał się „Tren żalobny dla Ignacia Sanchez Mejias”, znakomitego

toradora, którego tragiczna śmierć w sierpniu tegoż roku na arenie Madrytu głęboko wstrząsnęła Lorca, jego przyjaciелеm i admiratorem. Wreszcie, w roku śmierci poety wyszły dwa ostatnie jego zbiory: „Primeras Canciones” (Pierwsze pieśni), powstałe przed r. 1927, i „Seis Poemas Gallegos” (Sześć poematów galicyjskich), napisanych bezpośrednio w narzeczu galicyjskim.

Ten hiszpański poeta jest poetą hiszpańskim. To znaczy: pierwiastki kultury ludowej składają się na krystalizujący i organizujący motyw, wokół którego Lorca osnuwa świat poetycki kunsztownie zbudowany, autonomiczny i, chociażby się powiedzieć, nadrealny. Powtarzam: nie bez racji w latach dwudziestych usiłowały go zagarnąć pod swój sztandar różne szkoły awangardy europejskiej — od ultraistów hiszpańskich do surrealistów francuskich. Łączyła go z nimi skłonność do rozkładania elementów rzeczywistości i ponownego ich zespalania w innym układzie. Ale rzeczywistość ta jest hiszpańska, wiejska. Związek z Andaluzją pozwalał poecie odgrodzić się od kosmopolityzmu ultraistów, ocalić swą oryginalność i samistość. Zapatrzeni we wzory francuskie, ultraiści w ślad za Apollinaire'em i kubistami lubowali się w prymitywnym malarstwie sztylów podmiejskich, dekoracji jarmarcznych bud, płócien wędrownych fotografów — przenosząc te elementy wraz z abstrakcyjnym pejzażem urbanistycznym na grunt Hiszpanii, dla której nie były one wcale charakterystyczne. Lorca natomiast zwracał się ku akcesoriom bytu hiszpańskiego: ku światłom ludowym, ku polichromii wiejskich kościołów, ku plastyce jasełkowej, ku przedmiotom bytu cygańskiego, ku krajobrazom Andaluzji z ich wiatrem, księżycem, oliwkami, stokami górkimi, „słonymi jutrzenkami”, słonecznikami, mułami i balkonami. Wszystkie te pierwiastki zamyka w „romancy”, odświeżonej i skondensowanej balladzie ludowej, zachowując jej chrząpawę i nostalgiczne modulacje o spadziście i nagłe milknących kadencjach, zachowując jej rytm dramatyczny, który sprawia, że każda jej strofa jest aktem małej tragedii.

Byłby to jednak zewnętrzne, formalne atrybuty hiszpańskości. Swoistość Lorci jest w istocie głębsza. Jeśli przyjrzemy się cyklowi świętych z „Romancero gitano”, zauważymy rzecz osobliwą: trzy utwory o św. Michale, św. Rafale i św. Gabrielu są odatę z perspektyw symboliki religijnej. Są to znowso, we wzrocie zbudowane z olśniewającą konkretności obrazów i materialnych metafor. „Sw. Michał” jest udratymowanym pejzażem, pełnym tragicznej dynamiki, a święty, pokazujący piękne uda opasane lampami, „obstakawiony archanioł” w sukience upstrzonej lusterkami i koronkami, trwa tu spokojnie na swej wieży, akcent ciszy i bezruchu w „arabskiej harmonii nawoływania i balkonów”.

Ten sam motyw, lecz w innej wersji i na innym tle, powtarza się w „Sw. Rafale”: w fantastycznym pejzażu przypominającym obrazy Chirico zmagają się „dwie piękne Kordoby”: wiotka Kordoba sitowia i Kordoba architektury, Kordoba załamana w wodotryskach i sucha Kordoba niebiańska; te dwie Kordoby usiłuje pogodzić ryba z Guadalquiviru (ryba symbolizująca Chrystusa?) — ale dzieci o beznamiętnej twarzy, młodzi uczniowie Tobiasza (walka z aniołami) drążnią rybę „ironicznymi pytaniami: czy chciałabyś kwiatu winnego, a może skoków półksiężycy?”; w tym skłębieniu obrazów, form i fantazmatów święty Rafał, „archanioł nakrapiany ciemną luską, szuka w pośrodku fal tytmu i spoczynku”.

Wreszcie, „Sw. Gabriel” (Sevilla), romanca może najbardziej popularna w Hiszpanii, to wstrząsająca prosta misterium ludowe. Rolę archaniola Gabriela gra tu „wnuk Giralda, efeb w lakierowanych trzewikach, o cerze nocnego jabłka i jaspisowej pierści, pogromca młodych gołębic i przysięgły nieprzyjacieli wierzby”; rolę Najświętszej Panny — chłopka Anunciación (Zwiastowanie) de los Reyes, dobrze usposobiona (pod dobrym księżycem) i źle ubrana, której „oczy lśnią jałowu, krajobrazy kawalkad”. Rozmowa ich jest utkana z obrazów urzekających poetyką plastyką i mimicznych pauz pełnych uśmiechniętej czułości. Całość kończy się baletowym finałem wniebowstąpienia św. Gabriela po drabinie wśród gwiazd zamienionych w nieśmiertelniki.

Wszystkie te utwory, jak zresztą i „Meczństwo św. Eulalii”, i „Mniszka-Cyganka”, tchną ironicznym pletzmem albo, ściślej mówiąc, pletzmem ustawicznie podważanym i dyskredytowanym groteskową niemal w swej konkretności fakturą obrazów i metafor, w których barwa — od jarmarczno jaskrawej do bardzo wyrafinowanej w stylu Van Gogha — gra dominującą rolę. Mówiąc: „Smagły Chrystus o wystających kościach policzkowych i białych żrenicach zamienia się z lilii Judei w goździk Hiszpanii”, albo „Matka Boska w szacie z cynowego papieru”, albo „Matka Boska Samotności rozkwita jak obryzmi tulipan” — Lorca materialną cielesnością ekspresji podważa bezieleśną sakralność Chrystusa i Matki Boskiej. Ale też dzięki temu przemawia wprost do zmysłów ludu i to w dwójki sposób: przemawia do zmysłowej percepcji kultu, tak typowej dla narodów romańskiego południa, i równocześnie do bliźniczniej ironii, która ściśle spłata się u nich z dewocją. Wiara i bliźnicznosc — czy nie jest to jeden z odwiecznych konfliktów świadomości hiszpańskiej? Ale poetyckie bliźnicznosc Lorci mają głębszy, powiedziałbym, rewolucyjny sens. Sw. Michał i Sw. Rafał, posądkami malowane, suto obwieszone świecidełkami i koronkami, to momenty ciszy i zastój w tragicznie skłębionych

krajobrazach Granady i Kordoby. Gdy św. Gabriel odchodząc mówi do zapłodnionej już Anunciación, w której „piersiach rodzi się ciepłe mleko”: „Niech cię Bóg strzeże, Anunciación, o matko stu dynastji, jałowu lśnią twe oczy, krajobrazy kawalkad” — czyż nie zapowiada świętekiej potęgi kościoła i jego zbrojnych czynów? Nic dziwnego że w czasie wojny domowej, gdy Franco pod znakiem krzyża prowadził swych marokkańczyków do walki z ludową Hiszpanią, wiersze z „Romancero gitano” krążyły po całym kraju w bezimiennych odpisach, nieudolnie kaligrafowanych chłopską ręką.

Inne oblicze poezji Lorci ukazują nam ściśle cygańskie romanca z „Romancera”. Tutaj, w tym samym sztafetu barw, pysznej roślinności, zodiakalnych zwierząt, sztyletów i balkonów, motywem przewodnim jest honor i śmierć — drugi tradycyjny motyw poezji hiszpańskiej. Nic nie jest niewspółmierne ze śmiercią — ani miłość dająca życie, ani honor, ten bunt przeciw fatum, ani wolność będąca chwałą życia. Koncepcja bardzo hiszpańska, podpierająca cały teatr Lorci — ale cyganie z „Romancera” to plemię dumne i niezawisłe, przede wszystkim miłujące wolność, wolność utożsamiającą z honorem. W romanco o „schwytaniu Antonio el Camborio” tej pieśni podwórzowej, wyposażonej w blaski najbardziej autentycznej poezji, Antonio z królewskiej rodziny cygańskiej, który dał się ująć pięciu żandarmom na drodze do Seville, słyszy taką apostrofę: „Tyżes to Antonio? Gdybyś się nazywał Camborio, pięć krwawych strumieni trysnęłoby pod twoją ręką. Nie, nie jestes synem niczym ani prawdziwym Camborio. Między już czasy dawnych cyganów, co przebiegli gory! Stare noże dygocą pod kurzem!”

„Jest w tej romanco nienawiść do „trójrożnych”, do żandarmierii zwanej „Guardia Civil”, która z wybuchem wojny domowej znalazła się cała w obozie Franco; nienawiść, która najpełniejszy wyraz osiąga w „Romancy o Hiszpańskiej Zandarmierii” (Romance de la Guardia Civil Espanola), ukazującej najżądź żandarmierii na „cygańską stolicę” Jerez de la Frontera”.

Pablo Neruda opowiada: „Pewnej nocy, w jednej z wiosce Zachodu, poeta nie mogąc zasnąć wstał tuż przed świtem. Surowy krajobraz Estremadury był jeszcze powleczone mgłą. Federico usiadł i utkwili wzrok w słońce powoli wshodzące między ruinami starych posągów. Były to marmurowe posągi z XVIII wieku, a miejsce, gdzie siedział, wiodło do feudalnego zamku, który, jak tyle starodawnych siedzib wielmożów hiszpańskich, był zupełnie opuszczony. Mimo że znajdował się tu po raz pierwszy, Lorca wielekroć przedtem widział już ten krajobraz, opisał go nawet w „Meczństwie św. Eulalii”. Federico patrzył na złoony torsów, tknięty już promieniami rodzącego się słońca, gdy nagle przesuwał się obok niego zblakany baran, który pewno zbroczył ze swego stada. W tej samej chwili pomiędzy ruin wyskoczył sześć czy siedem czarnych wieprzy, które rzuciły się na barana i w ciągu paru minut poszarpały go i pozariły. Zdzjęty niewymownym lekciem, ostupały z przerażenia, Federico nie mógł oderwać oczu od tych czarnych wieprzów, co pożerały barana wśród ruin posągów, w szarym bezładzie jutrenki.”

Gdy po powrocie do Madrytu Lorca opowiadał Nerudzie o tym wypadku, głos jego drżał z przejęcia i grozy, tak bardzo tragedia śmierci oddziałała się w jego dzieleceję wrażliwości. Zocie być może, dodaje Neruda, ukazało poecie w prozowej wizji brutalny symbol jego własnej zagłady.

Temat śmierci i nieodwracalności losu przewija się czarną nicią wzdłuż całej literatury hiszpańskiej — od rycerskich romanca pierwszych „juglarców” i stans Jorje Manriqueza, poprzez Cervantesa i Lope de Vega, Tirso de Molina i Alarcona, Gongora i Calderona do Miguela de Unamuno i Valle Inclana, poetów Jimenezza i Machado. Lorca jest wierny tej tradycji, z niej wywodzi się wszechobecność śmierci w jego twórczości, śmierci, której postać nie nazywa, ale którą wywołuje tysiącem wyobrażeń i przenosi. Jest ona, jak cien obok światła, nieodczuana od najbarwniejszych i najradosniejszych krajobrazów; sztylet, narzędzie śmierci, płonie w ręce każdego „autentycznego cygana”, jak promień słońca „oświetla straszliwe głębinę”, „drga na skrzyżowaniu ulic, wibrujących, jak struny”; katedra w Granadzie jest zbudowana ze złotych noży, w „Świętym Michale”, nawet msza jest „obieszna”, Sevilla jest „wieża pełną zrzecznych łuczników”. W powietrzu rozkwitają „róże z czarnego prochu”, serce Madonny jest przebite strzałami i goździkami, Święta Eulalia wisi na drzewie i jej „zweglona nagocić oczadza lodowate powietrze”. Śmierci są poświęcone najpiękniejsze

*) Według wersji przytoczonej przez Armanda Guiberta w jego wspomnieniach o Lorco, poeta poniósł śmierć z ręki granadzkiej „Guardia Civil”. W sierpniu 1936 Lorca mieszkał w Granadzie u swego przyjaciela, pianisty Mediny; pewnego dnia (już po wybuchu wojny domowej) Lorca wracając do domu znalazł Medinę zamordowanego przed drzwiami mieszkanka. Przerazony i bezradny, Lorca poszedł zawiadomić o tym „Guardia Civil”, tę samą „Guardia Civil”, która autora „Romancy o Hiszpańskiej Zandarmierii” uważała za swego osobistego wroga. Lorca został natychmiast aresztowany; po kilku dniach gwardziści wywieźli go z aresztu, wyprowadzili na szosę pod Granadą i tam położyli go trupem. Nie zmienia to, oczywiście, postaci rzeczy: bez rozkazu z góry granadzki posterunek „Guardia Civil” nie śmiałyby zabić znakomitego poety.

romance cygańskie: Romanca lunatyczna, Zwada, Śmierć z miłości, El Emplazado. Wszystko co powstało po „Romancero gitano”, od wierszy nowojorskich, malujących apokaliptyczny obraz wielkokapitalistycznej metropolii, do „Trenu na śmierć Ignacia Sanchez Mejias”, tchnie pesymizmem, którego źródłem m. in. szukać należy w epoce Lorci, w jej warunkach politycznych i społecznych.

TEATR

Należy pamiętać, że lata największej płodności poetyckiej Lorci przypadają na dekadę 1921 — 1931, a więc na okres dyktatury Primo de Rivery.

Nurdy społeczne, które, zrodzone z Rewolucji Październikowej, przebiegały Europę, docierały i do zapóźnionej Hiszpanii, budząc świadomość klasową jej proletariatu, wznagając tendencje separatystyczne Basków i Katalończyków, podsycając nadzieje rosnącego w siły obozu republikańskiego. Generał Primo de Rivera, powołany do władzy w roku 1923, był narzędziem samoobrony klas rządzących Hiszpanią, szlachty i burżuazji. Dyktatura militarna miała podprzeć zmuszając monarchię — pogłębiając niedolę mas, dając radykalnie elementom klasy robotniczej i postępowej inteligencji. Miguel de Unamuno, mistrz dwu pokoleń, musiał uciekać do Francji, wybitni działacze republikańscy znaleźli się na emigracji, przywódcy polityczni i prawie wszyscy intelektualni Katalończycy spędzili te lata na wygnaniu.

Primo de Rivera, który żywił śmieszne pretensje pisarskie, zniósł się nad miodą literaturą tym bardziej, że wiedział, iż cała jest po stronie republikańców i więcej gardził nim niż go się boi. I oto w r. 1924, gdy świeżo upieczony dyktator był u szczytu potęgi, Lorca powziął myśl napisania sztuki, która byłaby aktem protestu przeciw ustrojowi. Tak powstała „Mariana Pineda”, pierwsza tragedia Lorci, której bohaterką jest jedna z najpiękniejszych postaci dzieł Hiszpanii. W r. 1831 młoda andaluzyjka Mariana Pineda została zabita przez rojalistów za to, że na sztandarze, przeznaczonym dla konspiracyjnej grupy liberałów, wyhaftowała złotem trzy słowa: Prawo, Wolność, Równość; w sztuce Lorci, Mariana Pineda woli pójść na szafot, niż wydać uczestników spisku, chociaż za tę cenę mogłaby ocalić swe życie i chociaż spiskowcy uciekli.

Ostrze polityczne sztuki było zbyt wyraźne skierowane przeciw rządowi Alfonsa XIII, aby którykolwiek dyrektor teatru ośmielił się ją wystawić. Dopiero w r. 1927 zdobyła się na to aktorka madrycka Małgorzata Xirgu. Madryt republikański i postępowy zgłował „Marianę Pinedę” sukces, który był w równej mierze manifestacją polityczną, co wyrazem uznania dla walorów poetyckich sztuki. W istocie, niektóre jej partie, jak „Corrida de Ronda” i „Śmierć Torrijasa” zapowiadają już „Romancero gitano”, które miało się ukazać w rok później.

Lorca napisał jeszcze dziewięć sztuk, z których wymienić należy: „Cudowna Szewcowa” (1930), „Krwawe Gody” (1933), „Yerma” (1934), „Pannie Rosicie czyli język kwiatów” (1935), „Dom Bernardy Alba” (1936) oraz wydane pośmiertnie i dotąd nie wystawione w Europie „Niech tak przejdzie pięć lat” i „El Publico”. Widzimy więc, że okres intensywnej twórczości dramatopisarskiej Lorci zbiega się z krótkim żywotem Republiki Hiszpańskiej. Ale próżno byśmy szukali w jego sztukach bezpośredniego odbicia ówczesnych wydarzeń. Jak wiadomo, kręte są drogi, jakimi aktualność przenika do dzieła sztuki. Lorca był zbyt Hiszpanem, by nie ulegać urokowi wielkiej dramaturgii Złotego Wieku. Jej tragizm znajduje u Lorci wyraz w grze konceptów „metafizycznych”: miłości i śmierci, honoru i przeznaczenia. Ale z nieba walorów absolutnych Lorca ściąga te abstrakcje na ziemię, umieszcza je w środowisku chłopkim, przysposabia je niejako do świadomości moralnej ludu. Tak więc, rozwijając załazek tkwiący w „Owczym Zródle” Lope de Vega, przynajmniej ludowi prawo do honoru. Tylko że na gruncie chłopkim poczucie honoru staje się siłą dobroczynną, zakorzenioną w instynkcie życia. Mariana Pineda zaprzega ją w służbę walki wyzwolenczej. Chłopka Yerma, trawiona potrzebą płodności, pojmuje macierzyństwo jako honor kobiety i zabija męża, który przez skąpstwo i chęć użycia odmawia jej i sobie potomstwa.

W „Krwawych godach” sama natura w postaci księżycy i śmierci w postaci zebraćki sprzymierzają się przeciw zbrodni podstępna czi małżeńskiej, pomimo fatum kierującego czynami winowajców. Dochodzi tu do głosu idealistyczna koncepcja sprawiedliwości, ale nie należy zapominać, że na teatrze Lorci cięża wpływ D'Annunzia i zwłaszcza Maeterlincka, które objawiają się w personifikacji sił nadzmysłowych, w panteistycznym pojmowaniu przyrody. „Cudowna szewcowa”, bohaterka farsy nawijającej do Lope de Ruedy, ocala część małżeńską wbrew pozorom rozwiązłości i swarliwości. I odwrotnie — w „Domu Bernardy Alba”, tym hiszpańskim „domu kobiet”, w „Pannie Rosicie czyli języku kwiatów”, gdzie widoczne są wpływy Czechowa, honor jako narzędzie szlacheckiego prestiżu staje się siłą destrukcyjną, siejącą zniszczenie i śmierć.

Lorca odświeżył teatr hiszpański przenosząc jego problematykę ze świata mitologii szlacheckiej w realne życie ludu; czyniąc, w przeciwieństwie do pisarzy Złotego Wieku, podmiotem jego i postacią centralną kobietę, istotę upośledzoną i bierną; odnawiając jego formę przez wplecenie do swych sztuk pieśni, romanca i humorystycznych kupletów. Czerpiąc inspirację z farsy średniowiecznej, z kastylijskiego raprodu i t. zw. autosacramentales, Lorca stworzył swoisty stop, który Rafael Alberti nazywał „dramatyczną romanca”.

I.
Ciągną pojazdy zamknięte
Nad brzeg zielony od wikliny,
Gdzie nagi tors Rzymianina
Fal polerują języki;
Pojazdy te Guadalquivir
W dojrzałych swoich kryształach
Zanurza wśród lawic kwiatnych
I dźwięczących obłoków białych.
Dokoła starych pojazdów,
Co nikną, gdy gasną światła,
Dzieci tkają piosenkę
O rozczarowaniu świata.
A jednak pod tajemnicą
Zmącą nie drży Kordoba.
Bo dymów architektury
Gdy wzniesie ciemność żalobna,
To stopa kuta w marmurze
Poprzec ciemności zasłony
Utwierdza blask swój bezgrzeszny
I ostro odgraniczony.
Mosiężne płatki obrębają
Wiatr szary, czysty i nagły,
Co łuki ark triumfalnych
Napina jak płótno żagli.
I kiedy dziesięć halasów
Neptuna odbije w górze
Most, to handlarze tytoniu
Zmynać przez wylom w murze.

II.

A łączy te dwie Kordoby
Ryba z podwodnej głębiny:
Kordobę architektury
Z wiotką Kordobą wikliny.
Nagie dzieci na brzegu,
Uczniowie Tobiasza mali
O twarzach beznamiętnych
I chochlikowej talii,
Żeby ją zgniewać, zadają
Ironiczne pytania rybie:
„Czy chcesz półksiężycy skoków,
A może na kwiat winny dybiesz?”
Lecz ryba, co ożalobla
Marmur, a rurt złoci szumny,
Nauca je równowagi
Samotnej kolumny.
Nakrapiany ciemną luską
Wśród fal zięjących ochłaniają
Szuka spoczynku i rytmu
Znużony archanioł.

Jedna jest ryba pod wodą
I dwie są piękne Kordoby:
Zalmana w wodotryskach
I sucha Kordoba nieba.

przełożył Włodzimierz SŁOBODNIK

Ostatnie lata swego życia poświęcił Lorca niemal wyłącznie scenie — nie tylko jako dramaturg, ale też jako propagator teatru ludowego. W r. 1931, po powrocie z Ameryki, założył studencki teatr objazdowy, który przez dłuższy czas obwoził po wsiach hiszpańskich klasyczne dzieła Lope de Vega (Owczwe Zródło), Calderona (Zycie snem) i intermedia Cervantesa. Lorca interesował się również teatrem laickim, dla którego napisał cykl krótkich sztuk, m. in. „Rebabillo de don Cristobal”, graną w czasie wojny domowej w Walencji i Madrycie. W r. 1933 Lorca wraz z zespołem Małgorzaty Xirgu wyjechał do Ameryki Południowej, gdzie przedstawił „Krwawych Godów” i odczyty jego świętych prawdziwe triumfy.

Jako obywatel młodej Republiki Hiszpańskiej, Lorca krążył z każdej okazji, aby uwydatnić swą postawę antyfaszysty i demokraty. W r. 1933 znalazł jemu jego podpis pod manifestem grupy rewolucyjnych pisarzy „Październik”, ogłoszonym w obronie ofiar hitlerowskich więzień i obozów. W okresie t. zw. czarnego dwulecia 1934 — 1935 (rządy prawicowe Lerroux) Lorca — był przedmiotem zaciekłych napaszczyjących reakcyjnych, zwłaszcza po premierze „Yermu”, której wystawienie zbiegło się z krwawym uśmierceniem powstania górników asturyjskich. W r. 1935 sygnuje antyfaszystowską odezwę ogłoszoną w Barcelonie przez katalońską inteligencję postępową. Po zwycięstwie Frontu Ludowego organizuje wspólnie z José Bergaminem, Rafelem Alberti i Marią Teresą Leon madrycki Związek Inteligencji Antyfaszystowskiej.

Strzelając do Lorci, oprawcy frankistowskiej dobrze wiedzieli, w kogo mierzą; wiedzieli, że mierzą w serce ludowej Hiszpanii. Ale tego serca nie zabije nie zdoła. Jeden z pierwszych poległych w hiszpańskiej wojnie domowej, Federico Garcia Lorca odniósł zwycięstwo za grobem. Dziś autor „Mariany Pinedy” i „Romancero gitano” jest chorąży armii walczącej o wolność ludu hiszpańskiego.

Krótki i wypełniony poezją żywot Lorci jest żywotem przykładowym. Przykład ten potwierdza parę starych prawd, które należy przypominąć: aby stać się ogólnoludzkim, poeta musi wyrastać ze swojej ziemi i swego ludu i nigdy się od nich nie odrywać; aby przetrwać się w przyszłości, poeta musi pisać dla swojej epoki i językiem swojej epoki; poeta narodowy nie musi się wyrękać formalnych zdobyczy poezji, pojmowanej jako autonomiczna dziedzina sztuki; — najtrudniejsza poezja (a poezja Lorci jest nie łatwa) jest rozumiana i kochana przez lud, jeśli owe zdobycze formalne służą poecie do wyrażania treści narodowych.

Stanisław Brucz

Z więzienia na wolność

(Dokończenie ze str. 2)

Naczelnik wstaje sprząść:

— Młodzieńcze (młodość czełowiek), bez deklamacji — mówi cicho wstrzymując oburzenie — żądacie ode mnie rewolucji. Ja nie jestem rewolucjonistą. Zmiany następują z pozwolenia jego cesarskiej mości i z jego decyzji będziecie uwolnieni, należy poczekać...

Ciemniej mi w oczach z gniewu:
— My nie chcemy czekać! Precz z carem! — krzyczą podnosząc pięści.

Naczelnik wysuwa się za drzwi i już przez otwór w nich pucza spokojnie: „Zaraz mogliby was uwolnić jedynie wasi towarzysze, ale Rosja nie Francja, a nasze więzienie nie Bastylia.

— Precz z carskim pachokami! — drę się resztkami głosu na całe więzienie. Wtórują mi wszyscy więźniowie.

Granas zaczyna śpiewać ochryple: „Szalę się tyran! I nie podtrzymany urywa. Dwugodzinny śpiew, ckrzyki i bezsilność wyczerpały nas zupełnie. Nikt jednak nie spoczywa. Wszyscy odczuwamy osobliwość czasu: rozpoczyna się rewolucja, jego cesarska mość obcuje wolność. To małe carat musi runąć. Żeby to nastąpiło, czuję wyraźnie, powinienem być zaraz na ulicy, na głównym placu Kalisza. Stąd zacznie się detronizacja cara. Odczuwam rewolucyjną opiekę nad sobą. Ona teraz rzadzi światem, jak dawniej moce niebieskie. Biegam po celi okna do drzwi w przekonaniu, że niebawem, zaraz, za kwadrans, za pół godziny wyjadę na spotkanie nowej ery.

Granas intonuje „Warszawiankę”, śpiewamy teraz wszyscy z nową siłą:

Hura, zerwijmy z carów korony,
Gdy ludy dotąd chodzą w ciemności.

Pieśń nastroja nas bojowo, plynieny w optymizmie i humorze.

Przyrębel wysuwa głowę i śpiewa łobuzersko:

Pana majstra z Dunaja
Powiesili za... nopi
A majstrou za... wlosy
A ja stoji i krzyczy;

Boże caria chrań... — śpiewamy wszyscy gromowo.

Sodoma! Strażnicy nie wiedzą, jak się mają zachować, patrzą gdzieś wysoko albo na czubki butów.

Uważaj! Na korytarz główny wchodzi starszy strażnik Lis, ręka, uszy i głowa Hallieckiego w administracji i nadzorze:

— Panowie, dobra nowina! Przyjeżdża pan gubernator, będzie wszystko wyjaśnione.

Rzeczywiście po jakiejś godzinie słychać trzask otwieranych zamków i jednakowo powtarzające się zdanie: „W kancelariu”

Otwierają się i moje drzwi. Po kilku minutach wszyscy stoimy na głównym korytarzu, który ma wygląd wielkiej sali koncertowej. Wita nas uroczyste zastępca naczelnika, Polak z fioletowym nosem, inteligentny i sympatyczny pijanica („w naszych czasach tylko świnia wódki nie pije”).

— Pan gubernator zechciał laskawie popatrywać się sam do nas z wiadomościami. Naczelnik i ja mamy zupełnie zaufanie do taktu panów, prosimy na górę (kancelaria mieściła się na pierwszym piętrze).

Więźniowie milczą, nie mają sobie nic do powiedzenia. Żadnych uwag. Nawet nie myślimy, pozostajemy uczuciowo w świecie wolności. Wszystko, jak we śnie. Gdy wyszedłem z celi na korytarz, zdawało mi się, że tańczący ze mnie spadły. Odczynałem głęboko świeżym powietrzem. Teraz nawet, we wspomnieniu odczuwam wyraźnie zapach atramentu zmieszane z wodą, coś na podobieństwo ozonu po burzy w upalnym dniu. Wydziałała go podłoga z czarnymi plamami, z której zm; wano ślady naszej demonstracji. Idę w pierwszym szeregu. Nagle ogarnia mnie interesujące uczucie radości z gniewem, serce łomce nakazuje. Skracamy na schody, czuję się jak zahyponotyzowany, jak gdzieś na innej planecie. Niesie mnie, robię szybki ruch o dwa stopnie wyżej, zastawiam towarzyszym drogę i krzyczę:

— Towarzysze, robotnicy robią rewolucję a my będziemy z carskim satrapą pertraktować! Precz z tyranami!

Wszyscy tak czuli i tym jeno mogę wytłumaczyć fakt, że zanim złapałem ichu po okrzyku, towarzysze byli już na kilka kroków przede mną. Na czele szli teraz Przyrębel, Ogłaza, Granas, Makowski. Zresztą trudno było widzieć, co kto czynił, bo wszyscy szaleli. Widziałem tylko, jak Przyrębel wyrwał strażnikowi karabin i ruszył z nim ku celi, w której przechowywano narzędzia gospodarcze. Dwa razy łamał się bagnet, lecz w końcu grubsza jego część u nasady w umiętnych rękach metalowa ca wyważyła drzwi. Rozchwytałyśmy siekiery, łomy, oskardy, młotki. Posypały się w drążki wielkie okna szczytowe. Brzęk spływające się szkła, huk rąbanych drzwi przy głównym wejściu, kurz z opadających tyneków przepelniał nas nieznaną radością. Najmniej rozumni, do których i ja należałem, nieszczęśliwie, o wpadło pod rękę. Rozgromiliśmy zupełnie cele otworzone, własne i te które zdolano otworzyć. Granas, przodownik narwańców, krzyczy do mnie w uniesieniu: „Sztandar, sztandar zawiesz!” I zanim zdążyłem pomyśleć, faluje pierze między otworami po oknach, a towarzysze w najwyższym punkcie jednego ze szczytowych okien przywiązują do nieoczekiwany skutek: słychać hurą i „Czerwony” w masowym chórze. To robotnicy kalicy demonstrują pod więzieniem. Teraz dopiero rozumiemy, co należało zrobić. Biegniemy do ciężkich wejściowych drzwi, ale tu właśnie szaleją metodycznie, po gospodarstwu: Przyrębel, Ogłaza, Makowski. Przychodzi na gotowe. Jeszcze dwa, jeszcze jedno uderzenie i luki — i główna zaporą do wolności leci z hukiem.

— Będziemy szlachci!

— Strzelaj, cholero, będziesz wisiał!

Maszerujemy naprzód po gruzie i drzazgach drzewa. Stary odwieczny z drewnianą twarzą, automat z kluczem, rozbrojony po pięćdziesięcioletniej służbie, świeci ludzkimi łzami, zlorczył ręką zdejmując z niego, psia obrzę.

Hura! Niech żyją! Wiva! — huczą okrzyki na nasz widok w bramie. Obywatele w chalcie z siwą brodą łapie mnie w ramiona, całujemy się w usta, jak narzeczni. Cała ulica przed frontem więzienia przepelniona demonstrantami.

— Drogę dla więźniów! — komenderuje przygodny organizator i natychmiast tworzy się szpaler w poprzek ulicy. Idziemy nim z początku wszyscy, ale po kilkunastu sekundach pozostaje nas na środku jedno trzech: Granas, Wojski i ja. Pozostali giną wśród demonstrantów. Nie wiem, z czyjej inicjatywy, lecz nie z własnej, podniesiono mnie na stęp od bramy stojącej naprzeciw więzienia.

Gdy publiczność zaczęła w zapale klasnąć, gaj zobaczyłem z góry falę głów i w dwu jej punktach czerwien sztandarów, gdy wreszcie dostrzegłem „naczelnika” i swięt gubernatorską, obserwowaną nas tchórzliwie z poza krat kancelarii więziennej, zatkąło mi oddech. Nie wiedziałem, co mówić. Dopiero po dłuższej chwili, ku radośnie uldze, przypomniałem sobie dowcip Przyrębla, wypowiedziany rano: „Car manifest”.

— Towarzysze — krzyczę odrazu z największym nateżeniem i tak rzucawiam sylaby, by sens zdania nie uszedł uwagi: — Towarzysze, car mani-fest!

Poruszenie demonstrantów nie pozwala wątpić, że rozumieją intencję, ale dla pewności dodaję: „Car kłamie w swoim manifeste!”

— Obiecanka cacanka! Car mówi o wolności a trzyma ludzi w więzieniach, ale przepelnią się miarka naszej krzywdy! Patrzcie! — pokazuję palcem dostojników za kratami, wyraźnie widzimy, jak cofają głowy od krat — patrzcie, satrapy ze strachu same się zamknęły w więzieniu, ale to za mało, pójdą pod sąd rewolucyjny!

Dłuższy czas czekałem na uspokojenie. Towarzysze, nie dajcie się omamić manifestem! Dopóki cara nie zwalimy z tronu, nie ma wolności!

Przemówienie trwało dwie, trzy minuty. Nie umiałem nic więcej powiedzieć, zatkąło mnie radość i widok wielkiej przyszłości. Lecz gdybym nawet był bardziej wyrobiony, publiczność nie pozwoliłaby mi mówić z zapalu. Demonstrantów objęło tchnienie wolności. Nigdy już po tym nie słyszałem śpiewu w takim nateżeniu. Pod czerwonym sztandarem z rozprutej powieszki ruszyliśmy na gubernię, na rynek główny Kalisza, a stąd droga na wszystkie strony świata.

Spotykane patroli piechoty pozdrawiamy okrzykami:

— Dajcie samoderżawie! Da zdrowstwujet swoboda!

Zoimierz ustępują nam z drogi.

Hura! Zerwijmy z carów korony!

Lucjan Rudnicki

ALEKSANDER JACKIEWICZ

BANKRUCTWO MIANOWSKICH

bralo im wszelką energię, wynaturzyło ich, idą więc teraz nadal po linii najmniejszego oporu, idą na współpracę z carskim zaborcą. Dla pasyżytów przecież nawet w przyrodzie nie istnieją granice wykorzystywania cudzych organizmów. Kosmopolityzm Mianowskich jest wynikiem ich kapitulacyjnej postawy.

Przy ich boku autor postawił księdza Glinkę, postać również dość typową. Udział Glinki w walce klasowej jest bardziej świadomy niż rola Mianowskich. W pewnym momencie tak mówi on do bankrutującego dziedzica: „Upadek rodu szlacheckiego, zażywającego dotąd największego szacunku, byby w naszej okolicy stratą nie do powetowania. Bo i tak to mieszczaństwo ciągle pomrukuje o bankructwie szlachty, o zaprzeczeniu dworów lichwiarzom. Dochodziły mnie już głosy bratniej sprzyjające chłopom niż ziemianstwu”. Namawiając Mianowskiego w dalszym ciągu rozmowy do współpracy z mieszczanami, Glinka ze swego punktu widzenia myśli politycznie prawidłowo. Mieszczanie rozprzeczają rękami, które czepią od nich podpadają ziemiennie. Obydwa warstwy na tym etapie historycznym są warstwami posiadającymi, raczej gospodarzom stawiają ich we wspólnym ironicznie przeciw chłopu.

Książd Glinka patroluje więc także za moim kupcom, bo widzi coraz wyraźniej, że oni stanowią tę siłę ekonomiczną, która wypiera szlachtę. Zatem „wiecznie ich zachęca do handlu”, choć im samym do tego ochoty nie brak, żyją jak te drapieżnie zwierzęta, nastawieni ciągle na zdobyci i na zdobyci. Poświęcając dzień i noc dla szlachajstwa, nie wiedzą wcale o istnieniu jakieg tam kultury. Dymek w ukryciu raz na miesiąc odmawia za Polskę pacierz. Potem daje strażnikom łapówki, czestuje wódką i drzy, aby go ktoś, brzo Boże, nie posądził o sprzeciwianie się władzom. Modli się i sprzedaje chłopom fałszowany pieprz i farbowaną herbacę”.

W doskonałej charakterystyce środowiska domomiasteczkowego, z którym Mianowski zetknął się po opuszczeniu swych dóbr, obraz walki ekonomicznej pomiędzy posiadającymi przybiera groteskowy, lecz także prawdziwie wymiary. Zaraz po przybyciu Mianowskich do Wyrzaj, w restauracji naprzeciwko ich nowego mieszkania odbywa się „wojenna” narada między wozniwą, drwalem i praczką. Ta ostatnia mówi: „Pamiętajcie, Wydra, o mnie. Jeśli by potrzebowali praczek, zstępcie mnie. Murowane nadlicze wam piętnaście wiader wody. Po dwa i pół grzywa, jeśli się nie myle, wyniesie to trzydzieści siedem groszy. Ładny pieniądź — odwróciła twarz ku drugiemu mężczyźnie.

— Jak będziecie im rabać drzewo, nie zapomnijcie o tej desce z tyłu. Gdybyście ją zbytnio przywaliłi, nie wydosłaniemy wióra na podpałkę.”

W powieści są również uwzględnione jednostki bardzo znamienne dla, że tak powiem, pogranicza międzyklasowego. Rysiełka Wilanicka, z domu Dymkówna, wnuczka rakażca, dziś żona zbiegłego szlachcika, przeżywa tragedię nie możej

IGNACY WITZ

NA NOWE POZYCJE W PLASTYCE

W przemówieniach i w dyskusji na IV Zjeździe Delegatów Związku Polskich Artystów Plastyków, który odbył się w dniach 27—29 czerwca w Katowicach, niejednokrotnie podkreślano przełomowy charakter tego zjazdu. Po raz pierwszy bowiem w polskim życiu artystycznym głównym zagadnieniem na zjeździe stały się nie sprawy organizacji, tylko, lecz sprawy rewizji pojęć artystycznych w plastyce polskiej, sprawy jej oceny, przewartościowania twórczości plastycznej, skierowania plastyki w właściwe dla niej żywotne łożysko, wrzęgnięcia jej w tok zachodzących w Polsce wielkich przeobrażeń politycznych, społecznych i kulturalnych.

Dotychczasowy stan rzeczy w plastyce polskiej, był wręcz stanem. Artysta był często jakby mieszkańcem innej planety, nie zainteresowanym wielkim zdarzeniami otaczającego go życia, obojętnym wobec przemian przeobrażających to życie. Nic łącząca artystę z masowym odbiorcą, z nowym odbiorcą ludowym, który w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat dokonał olbrzymiego wysiłku w dziedzinie awansu kulturalnego — ta nic — została nadwładna i groźna zerwaniem.

Powodem takiego stanu rzeczy były estetyzujące, formalistyczne, abstrakcyjne podstawy, obec w swoim martwym kosmopolityzmie, w jakimś jałowym inteligentnym buncie żywej istocie współczesnej sztuki, której celem jest współdziałanie w budowaniu nowej, socjalistycznej i humanistycznej kultury narodowej. Budziło to poważny niepokój wśród artystów polskich, rozumiejących, że jedyną drogą wyjścia z tego impasu jest stanowcze zerwanie z abstrakcyjnymi, formalistycznymi tendencjami w sztuce, są twórcze nowatorskie poszukiwania, jest nowa artystyczna postawa twórcza, opierająca się na metodzie realizmu socjalistycznego.

Przejęcia ze starych, niesłusznych pozycji do nowych pozycji w sztuce nie są rzecz jasna łatwe. Poprzeczki je musi gruntowna i twórcza dyskusja, która nie tylko przekona artystów ale też pokona szereg opór psychicznych, pokona przyzwyczajenia nabrane często w długich latach pracy, przewycięży wpływy dotychczasowych tradycji; wpływy idealistycznej krytyki i estetyki.

Proces ten musi poprzedzić również gruntowna zmiana form organizacyjnych

plastyki, nowa organizacja wystaw, nowe metody polityki artystycznej, nowe metody nauczania w średnim i wyższym szkolnictwie artystycznym. Muszą powstać nowe normy estetycznej oceny dzieła sztuki, nowe spojrzenie krytyczne.

Dyskusja zjazdowa jakkolwiek wybitnie ideologiczna, stale zahaczała o sprawy przyszłej organizacji życia plastycznego, o sprawy realizacji. Dyskusja ideologiczna w plastyce, jeżeli ma być rzeczowa, musi być dyskusją praktyczną, musi mówić o realizacji, o warunkach twórczości, musi mieć na uwadze odbiorcę, musi po prostu obracać się w granicach „czego, poco i dla kogo”. Z takiej dyskusji wyniknie słuszne stanowisko mówiące o tym, „jak”, a „jak” w twórczości, sprawa formy, jeżeli chodzi o plastykę, jest zagadnieniem generalnym. Dyskusja ujawniła, że nowym „jak”, nową formą, wynikającą z całej istoty naszego życia może być tylko forma realizmu, realizmu socjalistycznego, komunikatywna, pełna głębokiej treści ideologicznej, wiary w człowieka, w jego siłę i morale.

Do dyskusji wprowadzono momenty, w których za deklaracyjnością, za pozytywną deklaracyjnością w stosunku do nowych dezyderatów nie kryło się nic innego jak próba utrzymania dotychczasowego stanu rzeczy. Stanowiska takie, zgodnie zresztą z istotą formalizmu rozszczepiały zagadnienie na dwa oddzielne, niezależne od siebie człony, z których zawsze ważniejszy ma być zagadnienie „integralnej” formy, eksperymentu dla eksperymentu, nowatorstwa dla nowatorstwa. Jest rzeczą jasną, że wobec tych głosów unaoczniającej niebezpieczeństwa zawiąnięcia w próżni, fakt znalezienia się w ślepej uliczce, dyskusja stała się nie tylko bardziej rzeczowa, ale ujawniła niesłuszność i bezpodstawność tego stanowiska, wykazała brak rzeczowych argumentów w obronie abstrakcjonizmu i formalizmu. Ale dyskusja wykazała również, że dzięki sile twórczej realizmu socjalistycznego, przy całym zrozumieniu trudności, jakie mają do pokonania, abstrakcjonści jednak muszą pójść w kierunku realizmu socjalistycznego, muszą zrozumieć jego prawdę, jeżeli nie chcą — a chcieć tego nie może żaden artysta — być wyeliminowani przez życie z budowania nowej kultury, z tworzenia nowych wartości artystycznych, z udziału w twórczości.

Jeżeli mówimy o konieczności pokonywania oporów a często straszaków, jakie

pokażnej ilości artystów zakłócają zrozumienie nowych zadań sztuki, to — rzecz jasna — jednym z istotnych tego rodzaju oporów, który raz po raz dawał się nie tylko odczuć w dyskusji, ale wypowiedziany był zupełnie wyraźnie — jest strach przed naturalizmem. Co prawda dość trudno byłoby zdefiniować w naszych warunkach dużej infiltracji formalizmu, co jest naturalizmem w plastyce, gdyż według założeń abstrakcjonistów, każda sztuka wyobrażająca jest już naturalizmem albo z nim graniczy. Dyskusja starała się przewyciężyć takie stanowisko i takie obawy, wykazując, że w obecnym stanie sztuki polskiej strach przed naturalizmem, strach przed zawiąskiem nie mieszczącym się w ramach sztuki, istniejącym raczej jako zjawisko degeneracji i upadku poza sztuką i — łącznie z formalizmem — wrogim nowej estetyce marksistowskiej, jest najzupełniej nieuzasadniony.

Gdyby dyskusja toczyła się jedynie w sprawach ideologicznych, byłaby dyskusją teoretyczną, hipotetyczną. Malarze mogą tak dyskutować godzinami, ale jeszcze bardziej wolał opierać się na faktycznym materiale, operować przykładami, opierać się na poszczególnych dziełach sztuki, albo na postaciach poszczególnych twórców. Teoretyczne założenie dyskusji miało jednak olbrzymią podbudowę praktyczną w formie zaprojektowania daleko wybiegających w przyszłość przedsięwzięć twórczych, które pozwolą nie tylko na skonkretyzowanie już w praktyce dalszego ciągu dyskusji, ale i na podsumowanie jej wyników w żywej, praktycznej twórczości. Tą praktyczną ośnową dającą pole do wysnuwania nader optymistycznych wniosków w stosunku do przebudowy oblicza plastyki polskiej są dwa realizowane już przedsięwzięcia olbrzymiej wagi: konkurs na rzeźbę i malarstwo dla Wspólnego Domu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej oraz wyznaczenia na luty r. 1950 Ogólnopolska Wystawa Tematyczna, której celem i zadaniem będzie danie twórczego, artystycznego odbicia przemian zachodzących w Polsce w ostatnim pięćdziesięciu.

Dyskusja na IV Zjeździe Delegatów Związku Polskich Artystów Plastyków, nie była pierwszą ani ostatnią dyskusją na temat oblicza polskiej sztuki i zmian zachodzących w niej. Zjazd obradował już po wielu mniejszych dyskusjach, po dyskusji w Nieborowie. W dyskusji katowickiej podsumowano w części tamte, wyciągnięto z nich wnioski natury organizacyjnej i praktycznej — i rozpoczęto właściwie i istotne rozważania nad konkretnymi, rozpoczęto, na długą metę twórczą dyskusję i twórczą krytykę żywej działalności artystycznej. W dalszym rozwinięciu, w szeregowym rozwoju tej dyskusji znajdować się będzie debata nad sprawami nauczania, która odbędzie się jesienią w Poznaniu, na podstawie ogólnopolskiej wystawy prac szkół i uczelni artystycznych, debata z udziałem grona profesorskiego, młodzież, działaczy kulturalno — oświatowych i politycznych. Ogniwami jej będą również dyskusje, jakie odbędą się po rozstrzygnięciu konkursu na Wspólny Dom i w czasie trwania wystawy tematycznej.

Na Zjeździe omawiano też sprawę nowego statutu ZPAP, któryby stwarzał najlepsze formy organizacyjne dla nowych koncepcji. Statut został przez zjazd przyjęty. Istotną zmianą statutową jest zniesienie dyskryminacji „poziomu”, to znaczy — zrównanie wszystkich członków związku w prawach i obowiązkach. Statut dotychczasowy przewidywał bowiem, że członkiem Rady Artystycznej może być tylko uprawniony do tego plastyk, wykazujący się poważnymi osiągnięciami artystycznymi. Wszystko to byłoby może i dobre, gdyby w dziedzinie ocen nie istniała ogromna dysproporcja oraz niedostrzeżenie zmian zachodzących w pojęciach i kryteriach artystycznych. Jednocześnie uchwalono przeprowadzenie weryfikacji mającej na celu wyeliminowanie ze Związku osób, od dawna nie zajmujących się twórczością, (nie wchodzi tu artyści, którzy z powodu podeszłego wieku nie mogą pracować) oraz powołanie instytucji kandydatów dla nowych wstępujących do Związku, zwłaszcza dla młodzieży, wychodzącej z bram uczelni.

Drugą istotną cechą nowego statutu jest wprowadzenie pracy sekcyjnej zależnie od dyscypliny, jaką uprawia dany artysta. Sprawa podziału na sekcje jest rękomią sprawnej organizacji i działalności Związku na przyszłość. Powstały cztery sekcje: malarska, rzeźbiarska, graficzna i warsztatowa. Przewodniczącą każdej sekcji automatycznie staje się członkiem Zarządu Głównego ZPAP.

Zjazd uchwalił również szereg rezolucji, m. in. żądających zwrotu „Zachęty” i wybudowania nowego lokalu wystawowego w Warszawie, rezolucję w sprawie pokój, rezolucję żądającą zwrotu arrasów wawelskich itd.

Ignacy Witz

WYŻSZA SZKOŁA FILMOWA

posiada wydziały realizatorski i operatorski. Nauka jest bezpłatna i trwa 4 lata. Przy szkole istnieje Internat (ilość miejsc ograniczona). Studenci otrzymują całodienne utrzymanie.

Zapisy przyjmuje Sekretariat Wyższej Szkoły Filmowej, Łódź, Targowa 61.

SPROSTOWANIE

Kandyd w Nr 28 „Kuznicy” przemienił przy pomocy korektora „groźnego... Marksa w Minerwę”. Jak wynika z dalszego tekstu, „Tygodnik Powszechny” przemienił groźnego M a r s a w Minerwę — a tylko korektor „Kuznicy” „przemienił” Marsa na Marksa. Ten „marksistowski” błąd należy sprostować na str. 7, w. 15 od góry s. 5.

Aleksander Jackiewicz

PRZEGLĄD PRASY

Spoczywajcie w spokoju

Przez cały tydzień zbieram czasopisma literackie, a sobotę i niedzielę poświęcam na ich lekturę. Godziny zajęte tą czynnością nie zawsze należą do najciekawszych...

Przez cały tydzień zbieram czasopisma literackie, a sobotę i niedzielę poświęcam na ich lekturę. Godziny zajęte tą czynnością nie zawsze należą do najciekawszych...

Na wawelskim wzgórzu

Trwają obecnie „Dni Krakowa”. W letnim okresie urlopowym przewijają się przez najpiękniejsze miasto polskie tłumy zwiedzających.

„patetycznym” kazaniu — prosi szeroką frazą wiechowską o „wynagrodzenie” jego wysiłków.

Dlaczego władze kościelne tolerują ten skandaliczny stan rzeczy? Czy nie można było oprowadzania po kryptach wawelskich używać na przykład studentów historii sztuki...

Czy polscy górnicy muszą konieczniej słyszeć na Wawelu wynaturzony język polski? I czy powinni jeszcze płacić za to haracz?

Kociokwik

Nie zajmowaliśmy się dotychczas planem Marshalla, zostawiając omówienie tej kwestii zawodowym politykom i ekonomistom.



francuski w Waszyngtonie Bonnet zawiadomił swoje Ministerstwo Spraw Zagranicznych o dostawie 50.000 kotów...

Dowcip? Bynajmniej. Wiadomość oficjalnie sprawdzona i przez prasę paryską żywo komentowana.

Tak więc inwazji filmów kryminalnych, nylonów, ekspatów wojskowych i szpiegów towarzyszyć będzie inwazja amerykańskich kotów.

Nerwy

Waszyngtoński tygodnik „News and World Report” ogłosił wywiad z pewnym Amerykaninem, który oświadczył, że rząd radziecki nie czyzy sobie wojny...



Powyższego wywiadu udzielił... John Foster Dulles, człowiek, który niedawno nazwał Wyszynskiego jednym z „najniebezpieczniejszych podżegaczy wojennych”.

Zmilitaryzowana nauka

Według sprawozdań komisji naukowej przy prezydencie USA wydano w ubiegłym roku budżetowym w Ameryce około 624 milionów dolarów na prace naukowe...



sadniej określili ten stan znany fizyk amerykański Morrison: „Amerykańska nauka — rzekł Morrison — staje przed całym światem jako rusznikarz nowej i najstraszniejszej z dotychczasowych wojen”.

Podobny kierunek badań naukowych wywołuje poważny niepokój niektórych uczciwych uczonych amerykańskich...

„Wojskowa kontrola nad laboratoriami nieuchronnie wiedzie do bomb atomowych i do świadomego szerezenia epidemii, a nie do dobrobytu atomowego...

Zaslugi wydawców

Nadciągający sezon letni nie sprzyja obfitości wydawnictw. Zbierać je będziemy na jesieni.

Maupassant doczekał się po wojnie dwóch zbiorów, pierwszy z nich ukazał się w „Czytelniku”...

Wydając Chamforta „Książka i Wiedza” raz jeszcze potwierdziła opinię, jaka słusze jest temu wydawnictwu należeć. Dotychczas jest to jedyne wydawnictwo, które zajęło się planowym i stałym wzbogacaniem naszych bibliotek...

KORESPONDENCJA

List otwarty załogi fabryki „Birema” do ob. St. Kowalewskiego autora opowiadania p.t. „Walka klas”

Obywatelu! Z wielkim wzruszeniem przeczytaliśmy Wasze opowiadanie p.t. „Walka klas”.

życiu „Biremy”, który swój wpływ i swoje zdolności oddał dla wspólnego celu, dla rozwoju „Biremy”...

my przyznać, że po przeczytaniu napisanego przez Was pięknego obrazku z naszego życia, zrozumieliśmy, że ta walka klas to nie teoria, tylko prawdziwe codzienne życie.

Bo my walczymy! Walczymy o dobrobyt, o lepszą jakość naszej produkcji i większą jej ilość.

A walka jeszcze się nie skończyła. Zwrotnym jej punktem dla „Biremy” była opisana przez Was walka o plan.

W ten sposób właśnie wyobrażamy sobie, jak poeci i pisarze powinni być zawsze razem z nami i przedstawiać nam nasze własne życie — i to, jak mamy postępować w życiu dla dobra ludzi pracy...

Kim jest Olcha jako zwykły człowiek? Ten zwykły człowiek jest członkiem Partii! To Jej wychowanek i równocześnie współtwórca jej siły.

Uświadamiamy się politycznie na zebraniach i wiemy, co to są klasy społeczne, jakie istnieją między nimi różnice interesów, jak się zwalczają.

Obywatelu Kowalewski! Dziękujemy za list przesłany nam przed kilkoma dniami. Utrzymujcie z nami łączność.

Ukażal się interesujący 6-7 numer „MYSLI WSPÓŁCZESNEJ” poświęcony głównie zagadnieniu reformy szkół wyższych w Polsce

TREŚĆ NUMERU:

- ARTYKUŁY
Prof. dr CHAŁASIŃSKI JÓZEF — Reforma studiów humanistycznych
Inż. wmin. GOŁAŃSKI HENRYK — Reforma Wyższego szkolnictwa technicznego
Prof. dr WASILKOWSKI JAN — Reforma studiów prawnych
MINC BRONISŁAW — Podstawowe założenia Planu 6-letniego
Dr MUSZKAT MARIAN — Kosmopolityzm w prawie narodów
Kronika radziecka
SIMONOW KONSTANTY — Zadania radzieckiej dramaturgii i krytyka teatralna
Kronika polityczna
Dr SUCHY JULIUSZ, delegat Polski do ONZ — Zagadnienia Hiszpanii frankistowskiej
Kronika ZNP
Dr RYNKOWSKA ANNA — Polskie Towarzystwo Historyczne Oddział w Łodzi
SZWEJCEROWA ANIELA — W sprawie reorganizacji bibliotek naukowych
Recenzje
Dr PIOTROWSKA-HOCHFELDOWA K. — P. M. Sweezy: „Teoria rozwoju kapitalizmu”
Adres Redakcji. Warszawa, ul. Narbuta 8 m. 6. Tel. 413-67
Adres Administracji. R. S. W. „Prasa”, Warszawa, ul. Smolna 12. Tel. 831-47
Cena egzemplarza zł 100
Prenumerata półroczna 500 — roczna 1.000 zł. Konto PKO I-1374

Redaguje Z.spół.

Adres redakcji ul. Wiejska 12a (Frascati 1) pokój 413, IV p. tel. 4-01-80, w. 45

Adres administracji, Wiejska 12.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 80.—; kwartalnie zł 240.—; półrocznie zł 480.—; rocznie zł 960.— Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-10900. Adres prenumeraty: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16.

Drukarnia Nr 2 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5